MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 15 WARSZAWA, 14 KWIETNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

PODEJRZANY ROMANTYZM

CHĘTNIE czytamy, co piszą konserwatyści z obozu sanacyjnego. Bo jeżeli istnieje szansa dowiedzenia się czegoś, co obóz współpracy z rządem myśli lub zamierza, to chyba od tych ludzi, którzy tam wyjątkowo są piśmienni i największą ponoszą odpowiedzialność za obóz, jako najstarsi. W numerze świątecznym „Czasu" prof. Stanisław Estreicher obmyślił osobliwie ironiczny sposób złożenia społeczeństwu życzeń „Wesołego Alleluja", winszując mu wodza, który spełni za naród misję historyczną.

Pisarz ten deliberuje, co znaczy być panem i wodzem narodu. Dla niego niewzruszoną jest tezą, że „bez twórczych, genjalnych, niezależnych od przeciętnej masy jednostek żaden naród nie potrafi rozwiązać wielkich zadań swojego przeznaczenia". Wszystko więc zależy w dziejach od tego, czy trafi się taki wódz. Jakież ma on posiadać właściwości. Musi mieć dar ujmowania odległych celów narodu. A do takiego ujęcia

„dochodzi się daleko łatwiej silną intuicją, niż logicznem rozumowaniem. Wszyscy wielcy wodzowie narodu bywali też zwykle nie ludźmi oświecenia, tj. racjonalistami — lecz ludźmi uczucia, wiary. Popadali też łatwo w konflikt z otoczeniem swojem, nie uznającem ani ich romantyczności, ani podświadomych źródeł ich poglądu na sprawy polityczne. W wodzu narodu tkwi znaczny procent proroka, a ten procent skupia koło niego gorących wyznawców i apostołów".

I dalej w tym duchu profesor wykłada psychologję opętania duszy wodza przez ten cel upatrzony, przez wiarę w siebie, która rodzi w nim przeświadczenie, że jest przez Opatrzność wybrany. Taki był Cezar, Napoleon, Mussolini; stąd żądza sławy i władzy, despotyzm, konflikty z otoczeniem. Karol Wielki wycinał w pień malkontentów, Napoleon zamordował ks. d'Enghien. Za nic takim ludziom prawo i e t y k a. Wódz narodu burzy i niszczy, ale wielkość jego poznaje się po tem, że ma wielką ideę i że według niej buduje. Prawdziwego wodza narodu znamionuje zdolność twórcza.

A teraz pytanie aktualne—kończy prof. Estreicher:

„Czy nasz obecny polski wódz narodu, dyktator faktyczny i moralny Rzeczypospolitej, wysunięty przez wypadki i przez swoją wolę na czoło masy narodowej, odpowiada tym rysom psychicznym, jakie każdy prawdziwy wódz narodu dotąd posiadał? Przeciwnicy jego odmawiają mu niejednego z tych rysów;, zwolennicy podnoszą z zapałem, że posiada je wszystkie od ponadpartyjnictwa do wiary w swoją misję, do bezwzględnej woli i do zdolności organizowania państwa na nowy ład. Działalność jego nie jest jeszcze zamknięta, jest r a c z e j d o p i e r o r o z p o c z ę t a. Chcę powiedzieć przez to, że wyszedł z pierwszej fazy, z fazy walki o władzę i burzenia przeszkód na swojej drodze — a dzisiaj stoi przed nim to zadanie, jakie spełnił tak świetnie Napoleon między rokiem 1799 a 1814. Czyż mogę wyrazić zbożniejsze w świątecznym dniu dzisiajszym dla nas wszystkich życzenie, życzenie donioślejsze dla całego narodu i dla całej przyszłości naszej, niż to, aby twórcze zadania wodza narodu podjął i w duchu państwowej idei polskiej do końca doprowadził?"

Mogliśmy przypuszczać, że redakcja „Czasu" załatwiła się z tem „pytaniem aktualnem" w r. 1926, wtedy kiedy ono dla niej było istotnie aktualne. Nie będziemy teraz na to prowokacyjne pytanie odpowiadać, może p. Estreicherowi starczą za odpowiedź wynurzenia samego wodza z d. 7 kwietnia. Czyż mamy dziękować za życzenia tak wysoce obłudne, w które przecie sam nie wierzy?

Słyszałem niedawno o rozmowie z pewnym wybitnym działaczem radykalnym. Z głębokiem przeświadczeniem, rozgrzany polemiką, twierdził:

— W Polsce jest jeden mądry człowiek—Dmowski. Ale dla tego właśnie łatwo go zrobić niepopularnym. Właśnie dla jego genjalnego umysłu. Gdyby ten człowiek na chwilę się zapomniał i zrobił lub powiedział jakieś szaleństwo, ujawnił słabość, zaczął

udawać człowieka irracjonalnego czy nawiedzonego — mielibyśmy wielki kłopot, odrazu bowiem rozbroiłby wszystkich. W Polsce w sprawach publicznych nie wolno być człowiekiem trzeźwym, jasnym, przejrzystym, zrozumiałym na linji celów, środków i motywów. Bo to drażni, prowokuje tych, którzy kierują opinją, a sami nic nie rozumiejąc, jedyne oparcie mają w przeświadczeniu, że świat tajemnic ich otacza. W tych warunkach ujawnianie rozsądku i wiedzy o rzeczach wygląda na przechwałkę, na pychę, na chęć kłucia w oczy. W tym stanie ducha podziwiać można mądrość, ale kocha się tylko tych, których się nie rozumie.

Spostrzeżenie trafne, ale czem się tłumaczy to zjawisko? Społeczeństwo polskie słabe jest w kulturze myśli politycznej, to znaczy, rzeczywistość przerasta siłę rozumienia współczesnych. Jest to niezałatwiona jeszcze przez kulturę pozostałość czasów barbarzyńskich, kiedy polityka była wiedzą tajemną wybranych. Pokutujący w Polsce romantyzm polityczny jest szczątkową postacią tej pierwotnej umysłowości, kiedy wiara w nawiedzenie wybrańców przez ducha wyższego (genjusza) była potrzebą człowieka; inaczej zadusiłby się od przygniatającej go „tajemnicy". O tem właśnie mówi p. Estreicher prof. uniw. w XX stuleciu w Krakowie słowami: „w wodzu narodu tkwi znaczny procent proroka..."

Romantyczny pogląd na stosunek jednostki do społeczeństwa umysły oświecone zwalczają właśnie dla tego, że on czarem swej poetyckości zbyt ściśle nawiązuje do barbarzyństwa czasów minionych. Nauka o cywilizacji — zajrzyjmy do Tylora albo do Spencera — daje nam pełną garścią fakty, jak radziły sobie z tajemnicami bytu plemiona w Patagonji, w Indjach południowych, na Cejlonie, u Fidżów na wyspach oceanu Spokojnego, w Gwinei, w Chinach—szukano wróżbitów, którzy w atakach histerycznych wieszczyli. Dowiadywali się prawdy od „genjuszów", które nawiedzały chorych. Etnologja polska nie potrzebuje szukać tak daleko. W zbiorach Kolberga, w „Zbiorze wiadomości do antropologji krajowej" znajdziemy z czasów naszych w życiu ludu polskiego fakty tej wiary w natchnienie nadprzyrodzone, udzielające się jednostkom wybranym. Lud nasz o takich mówi, że są opętani, opsowani, utrapieni, nawiedzeni. Gdy wieszczeniu towarzyszą ataki nerwowe, mówią, że jakaś siła ich „tłucze", „woła" przez nich. W jednym zbiorze (Świątka „Lud Nadrabski") znajdziemy ciekawą wiadomość, że lud wierzy tam, iż idjotyzm jest wynikiem czarów i nazywa idjotyzm „talantem". A Karłowicz dodaje: „To pojęcie talentu wiąże się z innem, powszechnie w Słowiańszczyźnie znanem wierzeniem, że głupcy z urodzenia, tak zwani „niespełna rozumu" są poniekąd istotami wybranemi, błogosławionemi, przez które objawia się czasami wola i władza nadziemska. Do rzędu takich należą np. t. zw. klikusze wielkoruskie, o których ciekawe studjum napisał Pryżow w r. 1868"...

E. B. Tylor w dziele „Cywilizacja pierwotna" którą mamy w przekładzie polskim, zwraca uwagę (t. II, str. 148) na przeżytki językowe z tych czasów w naszej mowie do dziś używane: „Mówimy jeszcze o genjuszu, chociaż pojęcia nasze się zmieniły. Genjusz Augusta był duchem opiekuńczym, na którego można było przysięgać i któremu składano ofiary na ołtarzu, jak bóstwom. Anglik nowożytny powiada, że Shakespeare, Newton i Wellington ulegali namowom i podnietom swego genjuszu, ale wyraz ten jest tylko przenośnią filozoficzną..."

W Polsce jeszcze przenośnią taką nie jest—nietylko u ludu (talant), lecz i w redakcji „Czasu". Z tą różnicą, że profesor krakowski uprawia psychologję genjuszu z całą perfidją demagoga, tając na użytek własny ironję. Ale jakie to jest niemiłosierne w stosunku do narodu, którego kulturę i politycy i ludzie nauki mają obowiązek podnosić, nie zaś cofać!

Nieraz pisałem już w tem miejscu, że tarcia polityczne w Polsce z obozem narodowym, politycznie oświeconym ponad poziom, uchodzą za walkę „partyjną" nieraz tylko przez nieporozumienie. Nie partje się ścierają, lecz epoki, oświecenie z barbarzyństwem. Potem następuje konflikt deprawacji z uczciwością polityczną, a na trzeciem miejscu szukajmy tego, co jest w ścisłem znaczeniu różnicą partyjną. Jedna z takich różnic między obozami, niepokonanych jeszcze przez postęp kultury, leży w poglądzie na naród, jako na byt odrębny od psychiki jednostki, byt, który się ujawnia w człowieku w drodze mistycznego nawiedzenia w jakimś chorobliwym transie. Nie dziwmy się, że w Polsce tak wielkie powodzenie miały teorje o identyczności niemal genjuszu i obłąkania.

Zabobon o genjuszu i ludziach wybranych zrodził się w ciężkich czasach powolnego tworzenia cywilizacji, gdy tylko wybrani mogli być w jej arkana wtajemniczeni. Zawsze ludzie przodujący w twórczości budzić musieli podejrzenie, że są czarodziejami, ale nigdy nie byli czem innem, jak tylko wyrazem sił psychicznych ukrytych w środowisku, co zresztą można zawsze poznać po stylu ich postaci. Działali ci twórcy zawsze z milczącego mandatu ogółu swojego, za niego dokonywali dzieł, w nim mając oparcie i cel. Popularne wyobrażenie o genjuszu, jako specjalnej strukturze czy wybryku natury, zmodyfikować dziś trzeba refleksją według teorji środowiska psychologicznego. To samo było z przyrodą, że na nią ludzie przenosili wyobraźnię tajemnicy i cudu w rzeczach, których jeszcze nie opanowali. Dla tych, co nie brali udziału w tworzeniu cywilizacji, była ona cała tajemnicą, cudotwórstwem bądź genjalnością. Dosyć się zastanowić nad tem, jakie zmiany zaszły w życiu, aby ten pogląd skorygować. Anglicy dokonywują trybem nowożytnego podboju daleko większych dzieł na świecie, niż Aleksander Macedoński. Dziś mówi się o narodach genjalnych, nawet w dziedzinie wynalazków, a o ludziach przodujących jako wyrazie genjuszu narodu,

Więc np. Foch, któremu los pozwolił w wyjątkowych okolicznościach wojny w konkretnym czynie wyjawić genjusz swego narodu. Czy dla zrozumienia jego potęgi ducha wystarcza schemat psychologiczny podany przez prof. Estreichera? Nie, nie wystarczy, on prawdę zaciemnia. Żeby zrozumieć Focha dość było spojrzeć na pogrzeb, który masowo demonstrował duszę narodu. Dwa miljony ludzi wzięło udział w manifestacji. Czy to były gapie, które się dziwowały czemuś, co się stało po za nimi? O nie. Uczucia tych ludzi niosły w górę pod tron Boga tę trumnę, jakby w niej spoczęła część ich osobistego istnienia. Ten Paryż wesoły zamarł z żalu, obudziły się w nim najgłębsze uczucia religijne, bo dziwnie się one łączą z patrjotycznemi, kobiety modliły się z książek i na różańcach. Byli w delegacji polskiej na tym pogrzebie ludzie z Warszawy, ściślej z sanacji, którzy oczom wierzyć nie chcieli i byli przekonani, że wszystko tak sprawnie urządziła policja. Oni biedacy nie przywieźli ze swego nieszczęsnego kraju kryterjów, jakich wymaga poznawanie świata cywilizowanego. Nie chcieli słuchać w kraju tych, owszem walczyli z tymi, którzy ich uczyli, że nadać siłę genjalną swojej osobistości można tylko w sposób organiczny przez wchłonięcie w siebie osobowości narodu. Nie z podszeptu demona w transach histerycznych czerpie jednostka wyjątkowa genjalność, lecz z genjuszu narodowego; wtedy staje się potęgą światową, jako pełnia indywidualności, mająca za sobą naród.

Jedyny w Polsce człowiek, który może o sobie powiedzieć, że dokonał wielkiego czynu dla zjednoczenia i niepodległości Polski — Roman Dmowski, w dziele swojem „Polityka polska i odbudowanie państwa", powiedział ze skromnością Focha: „Polityka narodów w pewnej tylko, niewielkiej naogół mierze jest wyrazem indywidualnego charakteru jej kierowników" (str. 495). „Mówiąc o początkach nowoczesnej polityki polskiej, nie mam zamiaru sugestjonować czytelnika, że jest ona wytworem jakiegoś szczególnego politycznego genjuszu. Nie — jest ona tylko owocem bezinteresownej miłości Ojczyzny, zdrowego rozsądku, no — i trochy energji. A może najważniejszą rzeczą była tu bezinteresowność"... (str. 41).

Skromność jest cechą ludzi twórczych wogóle, leży ona bowiem w naturze ich stosunku do dzieła. Giną sami w swem dziele, aby ono żyć mogło. Kto, odwracając ten stosunek, traktuje naród jako piedestał dla siebie, ten nie może przejść do historji jako twórca.

ZYGMUNT WASILEWSKI

NA MANOWCACH KONSERWATYZMU

„Żydów kochamy jak bliźnich, szanujemy indywidualnie, o ile który na szacunek zasługuje, znamy ich zalety i ich wady. Ktokolwiek zna religję żydowską, wie bardzo dobrze, że to nie jest tylko ustawa duchowa, ale esencjonalnie także polityczna. Taką wyszła z rąk Mojżesza, taką być musiała do spełnienia wysokich celów Opatrzności, taką została zachowana, raczej zwichniona, przez szkoły rabinów w dwutysiącoletniem rozproszeniu. Żydzi mniemają się dziś, jak byli, ludem wybranym, wyższym moralnie od drugich, dla nich inne narody to poganie,... niech przeto starozakonni na dumę i nietolerancję skarżyć się przestaną; nie oni przez dwadzieścia wieków byli z prawa wyjęci; oni raczej inne wykluczali narody i tak czynią po dziś dzień, z nieograniczoną pogardą na nie poglądając".

Paweł Popiel (1849)

NIERAZ zastanawiałem się z moimi najbliższymi, odkąd to „Czas" krakowski, publikujący dziś ogłoszenia w sprawie nauki prywatnej Talmudu oraz nekrologi deterministyczno - relatywistyczne Żydów o Żydach, wszedł na śliską drogę ścisłej kolaboracji żywiołów niewątpliwie katolickich z „Ymciarzami", sekciarzami i niechrzczonymi ekonomistami. Postanowiłem się tej sprawie przyjrzeć źródłowo i zbadać, odkąd to zaczął się manifestować w niegdyś prawowiernym organie katolicko - konserwatywnym symptomat, o którym mówi znany pisarz antymasoński Copin-Albancelli, symptomat polegający na tem, że w dzienniku dokonywa się zwolna ewolucja tego rodzaju, aby czytelnicy się na niej nie poznali, „podobnie jak to czyni fabrykant czekolady, stopniowo odmieniający swoje kakao".

Skonstatowałem tedy, że tym momentem przełomowym, tą *katharsis*, było nie co innego, jeno sprawa Luegera i stanowisko względem niej ówczesnych konserwatystów krakowskich, mających wtedy wielkie wpływy w rządach austrjacko-galicyjskich.

Sprawy Luegera streszczać tu w całej rozciągłości nie będą. Dość nadmienić, że Karol Lueger, podówczas *leader* partji chrześcijańsko-społecznej, wygłosił był swojego czasu mowę, w której stwierdził m. i., że „dzieci szkolne powinny być wychowywane przez nauczycieli tego samego pochodzenia i wiary, w duchu chrześcijańskim i narodowym, w miłości do ojczyzny, do swego plemienia i wiary".

„Czas" zaś pisał w korespondencji wiedeńskiej z dnia 31 października 1895 r. (a wiadomo, że jego korespondentami z Wiednia bywali w ostatniem trzydziestoleciu z reguły dziennikarze pochodzenia żydowskiego: Inlendery, Rosnery, Goldscheidery) o katolickim burmistrzu wiedeńskim co następuje:

„Zapalać się do kwestji zatwierdzenia lub niezatwierdzenia p. Luegera najmniejszego nie mamy powodu, a i polityczne jego znaczenie ocenić trudno, skoro tak blisko zainteresowana „*Neue Freie Presse*" dotychczas nie jest zdecydowana powiedzieć, czy pragnie zatwierdzenia lub niezatwierdzenia wyboru".

Cenne to wyznanie ze strony dekonserwatyzującego się pisma, jak dalece szedł już wtedy „Czas" za „panią matką" — „*Neue freie Presse*". Wahanie to zresztą starej maklerki z *Fichtegasse* wyjaśnia nam poddostatkiem w pamiętnikach swoich Biliński, mówiąc, że odmowę zatwierdzenia odradzał (Biliński był wtedy po raz pierwszy ministrem skarbu) szef domu

Rothschildów wiedeńskich, baron Adalbert, właśnie ze stanowiska interesów żydowskich [1]).

6 listopada odbyło się rozstrzygające posiedzenie wiedeńskiej Izby Posłów. Zabrał na niem głos poseł chrześcijańsko-socjalny, ks. Alojzy Liechtenstein, urodzony z Polki, Potockiej z Łańcuta. Ks. Liechtenstein mówił co następuje:

„Nie chcę *odium*, jakie spada na prezesa ministrów (Kazimierza Badeniego, przeciwnego zatwierdzeniu Luegera na burmistrza Wiednia), rozciągnąć na jego współrodaków. Prawie wszyscy członkowie Koła Polskiego oświadczali się prywatnie za zatwierdzeniem wyborów... Także pomiędzy ministrami nie brakło ludzi doświadczonych, którzy ostrzegali prezesa ministrów, na jakie naraża się niebezpieczeństwa [2]). Jeśli zaś mimo to znalazła się większość za niepotwierdzeniem, to zapewne którykolwiek z członków gabinetu głosował za niepotwierdzeniem dlatego, aby prezes ministrów popełnił ten ciężki błąd, aby przez ten błąd upadł i aby w ten sposób on objął po nim dziedzictwo. (Silne poruszenie. Minister Gautsch zrywa się z krzesła)".

W trzy dni po pamiętnej sesji pisał „Czas" we właściwym sobie po dziś dzień stylu jak następuje:

„Sądzić nie przestaniemy ze swobodą myśli i przekonania, tak jak przystoi na dziennik niezależny, który nie może brać w rachubę osób, lecz rzeczy i zasady; jak przystoi na dziennik zachowawczy i wierny swej tradycji, który wszędzie i zawsze zwalczać musi demagogję, a cieszy się szczerze, gdy widzi poskromionego demagoga obcego lub rodzimego warchoła... A obojętnem jest, czy warcholstwo jest na sosie demokratycznym, czy arystokratycznym (aluzja do Liechtensteina)".

Po secesji ośmiu posłów z baronem Dipaulim na czele z konserwatywnej grupy niemieckiej Hohenwarta, również przeciwnej zatwierdzeniu Luegera, pisał „Czas" 13 listopada 1895 r.:

„Wszak niezatwierdzenia burmistrza, lub rozwiązania rady gminnej wiedeńskiej chyba sami secesjoniści nie będą uważali za kwestję religijną... W czasach zupełnego pomieszania wyobrażeń i chaosu duchowego, w czasach, gdy rozbudzone namiętności destrukcyjne porywają społeczeństwo, gdy oddają mu się na usługi ślepo i bez godności rozmaici ludzie i rozmaite żywioły, sądzimy, że powołaniem i obowiązkiem posłów konserwatywnych i katolickich, jest miarkować ten szalony bieg, nie uchylać czoła przed bożyszczami chwili, ale silnym umysłem i potężną wolą pracować nad zabezpieczeniem ładu społecznego, uczciwości, sumienia, nad przywróceniem równowagi wszystkich czynników społecznych, nad wzmocnieniem i przeobrażeniem podstaw społeczeństwa na zasadzie wiary, prawa i sprawiedliwości".

Kilka uwag dodatkowych:

1. „Czas" właśnie wtedy, podczas choroby śmiertelnej swego znakomitego założyciela, Pawła Popiela (zm. 6 marca 1892 r.), przeszedł był pod naczelną redakcję Michała Chylińskiego, żonatego z Rosnerówną, siostrą Ignacego, który ze swej strony poślubił Estreicherównę, siostrę dzisiejszego redaktora „Czasu", jedną z t. zw. „siostrzenic koalicji" (p. Rosnerowa była bowiem bratanicą wpływowego ministra Dunajewskiego, którego syn znów poślubił był córkę innego ministra polskiego w t. zw. „gabinecie koalicyjnym", Stanisława Madeyskiego). Od tego momentu datuje się radykalna zmiana kierunku w „Czasie."

2. Baron Gautsch, ów Judasz Badeniego, rzekomy syn naturalny cesarza Franciszka-Józefa i tej mocno anegdotycznej zresztą filjacji zawdzięczający rzekomo swoją karjerę, tak, jak — nie bez porozumienia zapewne z „braćmi czeskimi" [3]) — walił, jak mógł, i korrumpował polsko-katolickie wpływy w dawnej monarchji, tak wypłynął potem—dwukrotnie jeszcze — w przedzgonnych przesileniach monarchji: pierwszy raz 1 stycznia 1905 r. jako twórca odpowiedzialny ustawy o powszechnem głosowaniu w Austrji, która to ustawa wniesiona została pod jego auspicjami do wiedeńskiej Izby posłów 23 lutego 1906 r., a przeszła pod rządami jego następców, m. i. „czerwonego księcia" Hohenlohego [4]); drugi zaś raz — 28 czerwca 1911 roku, równo na trzy lata przed katastrofą sarajewską — jako bezpośredni poprzednik tragicznego wojennego gabinetu hr. Stürgkha.

3. Dobry znawca stosunków dawnej Austrji, p. Adam Nowicki, pisze wreszcie o sprawie Luegera co następuje:

„Rządy na ratuszu wiedeńskim, po długoletnich wpływach decydujących stronnictwa liberalnego, z którem szli potentaci finansjery i prasy centralistycznej, miały dostać się w ręce tak zwanego stronnictwa chrześcjańsko-społecznego które gwoli popularności wywiesiło także sztandar antysemicki.

Przywódcą tego stronnictwa, olśniewającym mówcą i pierwszym co do talentu agitatorem był adwokat i poseł do parlamentu dr. Karol Lueger, syn woźnego, o własnych siłach, dzięki olbrzymim zdolnościom, wybijający się w górę, ulubieniec mas, ponieważ nikt do mas nie umiał tak przemawiać, jak właśnie on, tak zw. „piękny Karol".

Gdy antysemici zdobyli większość krzeseł w Radzie Miejskiej, było już rzeczą pewną, że burmistrzem wybiorą dr. Karola Luegera, *notabene* jednego z długoletnich radców miejskich i jednego z najtęższych znawców gospodarki komunalnej wiedeńskiej. Tego ciosu pobici podczas wyborów— i trzykrotnie — dawni panowie Ratusza nie mogli przeboleć. Zgodziliby się na każdego innego antysemickiego burmistrza, byle tylko nie był nim dr. Karol Lueger.

A że wybranego burmistrza stolicy musiał, wedle statutu miejskiego, zatwierdzać sam cesarz, przeto przez panią Schratt postarali się, by cesarz nie zatwierdził wyboru Luegera. Cesarz, ulegając podszeptom „Kasi", która może w swojej naiwności sądziła, że robi dobrze, zwalczając zatwierdzenie wyboru „siewcy waśni religijnych" — jak wtedy gazety liberalne wiedeńskie nazywały Luegera — nakazał ówczesnemu prezesowi ministrów austrjackich, Polakowi, Kazimierzowi hr. Badeniemu, wziąć na siebie odpowiedzialność konstytucyjną za odmowę zatwierdzenia.

Badeni, nie znając stosunków wiedeńskich, nie doceniał siły politycznej Luegera, kontrasygnował zarządzenie cesarskie. I temsamem rozpętał walkę opozycyjną, pod naporem której w półtora roku i sam padł i autorytetowi powagi cesarza zadał cios śmiertelny. Lueger zwyciężył podczas wyborów do Rady Miejskiej po raz czwarty i tylko z litości nad starym cesarzem zgodził się na chwilowe odroczenie zatwierdzenia wyboru. Ale Badeniego nie myślał oszczędzać. Gdy ten ostatni znalazł się po ogłoszeniu rozporządzeń językowych dla Czech w trudnem położeniu politycznem i gdy Niemcy czescy w parlamencie austrjackim urządzili burzliwą obstrukcję, Lueger na czele posłów wiedeńskich przyłączył się do niej i powalił Badeniego raz na zawsze. Oczywista, interes dynastji, który był w tym wypadku identyczny z interesami państwa, ucierpiał niesłychanie skutkiem niefortunnej interwencji pani Schratt" [5]).

Do tych wywodów p. Nowickiego, który jak mało kto z pośród dziennikarzy polskich, znał kuluary i kulisy polityki austrjackiej, dodajmy jeszcze, że słynna pani Schratt była istotnie bliskimi węzłami związana z ekspozyturami finansjery żydowskiej w Wiedniu, w szczególności zaś z Maurycym Szepsem, redaktorem na.

---

[1]) patrz Biliński: „Pamiętniki", I, 91—9.

[2]) Tamże: „działałem ze swej strony za zatwierdzeniem, tak wobec Badeniego i jego doradcy ówczesnego, p. Koźmiana, jak na Radzie ministrów".

[3]) O zagadkowej roli w tem samem przesileniu p. Kramarza por. Biliński *l. c.*

[4]) Por. tendencyjny pamflet Charmatza: „*Osterreichs innere Geschichte von 1848 bis 1907*", II, 166, o pamiętnym okrzyku generalnego mówcy opozycji podczas pierwszego czytania reformy wyborczej 7 marca 1906, hr. Stürgkha, okrzyku zwróconym do hr. Gołuchowskiego (przeciwnika zresztą reformy): „Czy Wasza Ekscelencja jest świadoma wybitnych niebezpieczeństw, które zostałyby wywołane przez przejście reformy dla dynastji i monarchji?"—oraz kapitalną uwagę autora o ustępującym Gautschu: „Nie bez pełnego podziwu wzruszenia patrzyło się na upadek męża, który wreszcie pokazał Austrjakom, jak myśli rozumny konserwatysta".

[5]) „Ostatnia kochanka Franciszka-Józefa", Warszawa, b. r., str. 38—40.

czelnym „*Neues Wiener Tageblattu*“ i synem jego, dr. Juljuszem Szepsem, późniejszym naczelnym redaktorem „*Fremdenblattu*“[6])

Tym „bajecznym karjerom“ i „kokosowym koligacjom“: Schratt — Franciszek Józef — Szeps ojciec i syn — Badeni, zawdzięczamy również osobliwą kartę o Polsce w literaturze francuskiej, a mianowicie kilkudziesięciostronicową relację Jerzego Clemenceau z jego podróży do Galicji, która niewątpliwie związana była, choć chronologicznie nie jest zasygnowana, z rozgrywającą się równocześnie sprawą Luegera[7]). Tak, w Busku Badenich, cementował się wówczas—opodal grobu starego Szepsa, który spoczywa na miejscowym kirkucie — złowróżbny alians emisarjuszy finansjery żydowskiej z przedstawicielami konserwatyzmu galicyjskiego. Nie naszą jest rzeczą w pobieżnym artykule wykazywać bliższe jego okoliczności i dalsze skutki, sądzimy jednak, że zarówno niewydane pamiętniki (Stanisława Koźmiana), jak i postronne badania archiwalne zdołają rzucić obfitszy jeszcze pęk światła na ową znamienną i doniosłą *katharsis* konserwatystów krakowskich.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

ŚWIAT, KAPITAŁ I ROWNOWAGA

W PRACACH paryskiej konferencji rzeczoznawców reparacyjnych, podobnie jak przed laty w obradach komisji Dawesa, ogniskuje się moment przełomowy powojennej, światowej ewolucji kapitalistycznej. Nie trzeba dowodzić, jak wielka jest tej ewolucji doniosłość międzynarodowo-polityczna. Stara i powszechnie znana prawda stwierdza, iż potęga państw pozostaje w związku z rozwojem ich siły gospodarczej. Szczególnie dla nas aktualną tej prawdy ilustrację stanowi okoliczność, iż w odpowiedzi na przyśpieszone opróżnienie przez aljantów Nadrenji, powinnibyśmy się przedewszystkiem lepiej niż dotąd uzbroić; to zaś będzie możliwe tylko przy odpowiednim funduszu doraźnym, oraz takim rozwoju gospodarstwa narodowego, któryby wzmożony ciężar zbrojeń na stałe udźwignąć pozwolił. Bez przesady zatem rzec można, iż od tego w jakim zakresie, jakiem tempie, jakiemi szlakami, przez czyje ręce, dokąd naprzód, dokąd później przenikną złote potoki kapitału i szare rzeki obrotów towarowych, zależeć będzie w niedalekiej przyszłości, układ międzynarodowych przewag i uzależnień.

Podstawowym dla powojennej sytuacji gospodarstwa światowego jest fakt jego podziału na grupę państw wysoko-kapitalistycznych i grupę, jeśli się tak wyrazić wolno, państw sproletaryzowanych. Biegun dodatni stanowi Ameryka, biegun ujemny — Rosja Sowiecka. Powstaje pomiędzy niemi i coraz bardziej się wzmaga żywiołowo silny prąd przyciągający. Nieodpartą koniecznością życiową państw kapitalistycznych jest pozyskanie pól inwestycyjnych dla nadmiaru kapitału oraz rynków zbytu dla nadmiaru produkcji. Nieodpartą też koniecznością dla państw — proletarjuszy staje się pozyskanie tych dóbr. Jedno i drugie nastąpiło dotąd w dość wąskim dopiero zakresie. Kapitał bowiem jest lękliwy i na tereny przez dyplomację z przeszkód nieoczyszczone angażować się obawiał. Wyładowanie gospodarczej prężności Stanów Zjednoczonych miało dotąd miejsce głównie w jednym, wprawdzie bardzo doniosłym, punkcie pośrednim, na drodze do ujemnego bieguna sowieckiego: w Niemczech. Dostęp utorowała tutaj celowo (aczkolwiek z błędnych założeń politycznych wychodząc) dyplomacja angielska, p. Mac Donalda, w r. 1924. Pakt Dawesa stał się pierwszym etapem w kierunku nawiązania kontaktu między połową gospodarstwa światowego ekspansyjnie prężną, a połową chłonną. Niemcy zajęli w tej ewolucji stanowisko osi obrotowej. Jak należało oczekiwać, inwestycja półtora miljarda dolarów długoterminowych kredytów amerykańskich w Niemczech, po zawarciu paktu Dawesa, odrodziła nietylko ich potęgę ekonomiczną, lecz wślad za tem i polityczną. Zaraz w początku, zwrot ten dodał im bodźca do wojny celnej z nami, następnie wzmógł przewagę gospodarczą wobec Polski, pozwolił rozwinąć akcję wykupu ziemi z rąk naszych na naszem Pomorzu, kredytem krótkoterminowym forsować swój import do nas, przy równoczesnym sabotażu układów handlowych, dostarczył w pewnych momentach środków nacisku nawet przeciwko mocarstwom zachodnim (Chiny, polskie miejsce w Radzie Ligi), sworzył, jednem słowem, materjalną podstawę operacyjną dla niemieckiego odwetowego szturmu, tak jak pacyfizm stworzył dlań podstawę psychologiczną.

Na tem wszakże nie koniec. Inwestycja kapitału w Niemczech uczyniła Amerykę niejako udziałowcem ich narodowego gospodarstwa, współzainteresowanym w jego pomyślnym rozwoju. Wciągnęła ona kraj wierzycielski w pewnego rodzaju wir konsekwencyj, w kierunku coraz ściślejszego splotu interesów amerykańskich z niemieckiemi. Złoty deszcz z za oceanu, który zapłodnił już niemiecką glebę, aczkolwiek obfity, dla niej nie wystarcza. Niemcy potrzebują więcej i— taniej. W interesie bezpieczeństwa, oraz rentowności wkładów już dokonanych, Ameryka musi je czynić dalej, aż do zupełnego zaspokojenia potrzeb dłużnika, aż do osiągnięcia najwyższej sprawności jego olbrzymiego aparatu wytwórczego, aż do chwili, w której nastanie pewność, iż gospodarstwo narodowe niemieckie nietylko nie zbankrutuje, wraz z długiem amerykańskim, lecz przeciwnie, prosperować będzie na tyle świetnie, by dług amerykański normalnie oprocentować i spłacić.

Wprawdzie gospodarstwo narodowe niemieckie posiada pewne cechy swoiste, dla Ameryki obosieczne. Cenne jest dla niej samo przez się, jako rynek zbytu, ale z drugiej strony, jako *par excellence* przemysłowo-eksportowe, współzawodniczy z Ameryką. W mia-

---

[6]) Tamże, str. 36—7.

[7]) „*Au pied du Sinaï*“, Paris, 1920, str. 117—77; patrz str. 139: „*Par une étrange revanche de la destinée ce sont les grands seigneurs polonais qui gouvernent en ce moment l'empire d'Autriche... Badeni, Goluchowski, régisseut le peuple conquérant*“ oraz na stronie 151 pochwała żydostwa wobec Clemenceau w ustach Kazimierza Badeniego: „*Il n'y a pas un grand propriétaire galicien, qui pour ses affaires de tout ordre, ne soit dans l'obligation de s'adresser aux enfants d'Israël*“; Mitis: „*Das Leben des Kronprinzen Rudolf*“, Leipzig, 1928, str. 434, podaje, że córka Maurycego Szepsa, Zofja, poślubiła 28-go grudnia 1886 w Wiedniu inżyniera Pawła Clemenceau, brata Jerzego. Z siostrą znów obu tych Clemenceau żonaty był korespondent „*Neues Wiener Tageblattu*“ Ferdynand Bryndza (?).

rę rozwoju, oraz w miarę rozwoju swego obdłużenia, miejsca na światowym rynku zbytu potrzebować musi coraz więcej, ten rynek zaś, już w chwili obecnej, jest dla państw wysoko-kapitalistycznych zbyt ciasny. Ponadto, w tymże kierunku rozrostu niemieckiego przemysłowego eksportu wywierają nacisk reparacje, które normalnie Niemcy pokrywać mogą tylko czynnem saldem handlowem. Z trudności tych niema innego wyjścia, jak rozszerzenie światowego rynku zbytu, tak by się na nim pomieścić mogły zarówno Ameryka i Niemcy, łącznie z reparacjami. Rozszerzyć go zaś można jedynie przez inwestycję kapitału w krajach, dotąd pod tym względem upośledzonych, któraby spowodowała ich rozwój gospodarczy. Nawiasem mówiąc, stąd dla tych krajów z kolei powstanie konieczność czynnych sald handlowych, czyli że w obrocie światowym pozycje wywozów będą miały silniejszą tendencję wzrostu, niżli pozycje przywozów, wszelako to wysoce interesujące i wielce dla przyszłego rozwoju gospodarstwa światowego doniosłe zagadnienie nie jest jeszcze aktualne bezpośrednio. W chwili obecnej chodzi przedewszystkiem o wejście prężności ekspansywnych w obszary chłonne, nadmiarów w głody.

Takiej właśnie ewolucji posłużył już (pod względem politycznym niefortunnie) etap rozwojowy pierwszy, uruchomiony przez pakt Dawesa. Etap drugi organizuje właśnie obecna konferencja rzeczoznawców reparacyjnych. Światowo-gospodarczy sens tych układów polega na dalszem torowaniu dróg ekspansji kapitału, przedewszystkiem amerykańskiego. Poczęści może to być również kapitał francuski lub amerykański, reeksportowany z Francji, jeśli zostanie zawarty układ o dług wojenny francuski ze Stanami, a dopływ amerykańskiego kapitału do Francji wzrośnie i potanieje. Przedewszystkiem jednak chodzi o „komercjalizację" wojennego długu niemieckiego w tym celu, aby usunąć pierwszeństwo płatności, jakie mu z mocy paktu Dawesa przysługuje przed późniejszemi zobowiązaniami Niemiec wobec Ameryki. Umożliwiłoby to dopiero kontynuację upustów kredytu amerykańskiego do Niemiec, przy zmniejszonem ryzyku, na dogodniejszych warunkach, w celach zarówno inwestycyjnych, jak reeksportowych. Reeksportowi bowiem kapitału amerykańskiego, z niemieckiem „żyrem", na obszary kapitalistyczno-chłonne Europy wschodniej, przeszkadzała dotąd niedostateczna tego kapitału ilość oraz jego nadmierna drożyzna. Bez owego „żyra", czyli niemieckiego, w tej lub innej postaci, współzainteresowania, może Europa wschodnia, w najlepszym razie, przy angielskiej protekcji, otrzymywać kredyty zagraniczne w takiej tylko mierze i na takich warunkach, jak dotąd Polska...

Sposób w jaki dyplomacja, w związku z obecną konferencją rzeczoznawców reparacyjnych w Paryżu, toruje drogę światowej ekspansji kapitału, jest dla nas tym razem może jeszcze drastyczniejszy, niźli w r. 1924. Obszary chłonne wchodzą w rachubę dwa: sowiecko-rosyjski i polsko-dunajski, do Turcji włącznie. Dla Ameryki jest politycznie dość obojętne, dokąd skierować swój kapitał, byle z niemieckiem „żyrem". Posiada ono wysoką wartość ze względu na niemiecką znajomość stosunków wschodnio-europejskich, niemiecką wagę polityczną wobec państw ościennych, wreszcie ze względu na to, że współzainteresowanie i współdziałanie Niemiec może być dla lokat kapitału na wschodzie tyleż cenne, ile niebezpiecznymby mógł być sabotaż z ich strony. Dla Anglji, Francji, Polski i Niemiec kwestja pierwszeństwa inwestycji kapitału na środkowym wschodzie lub też w Rosji sowieckiej jest pod względem politycznym wysoce nieobojętna. Gdyby kapitał amerykański wszedł do Rosji naprzód i wyłącznie za pośrednictwem niemieckiem, to sojusz z Rapallo otrzymałby nowy dopływ sił żywotnych, na szkodę przedewszystkiem naszą oraz Anglji w Azji. Niemcy operują taktycznie tą perspektywą przeciwko Entencie, jako istotnie potężnym środkiem nacisku. Z drugiej strony zaś ofiarowują odmowę swego „żyra" do Rosji, i zgodnie z racją stanu Ententy, zwrot ekspansji kapitału przedewszystkiem na wschód środkowy oraz południowy, wszelako pod warunkiem, iż Ententa nie przeciwstawi się utrwaleniu niemieckiej przewagi na tym terenie, zarówno kapitalistycznej jak politycznej. Widoki w tym względzie zarysowują się dla nas wprost groźne, należy się bowiem liczyć, że jeżeli wynik układów reparacyjnych zapewni Niemcom nowy, trwały dopływ taniego kredytu amerykańskiego, to coraz silniej zacieśniać się będzie zbieżność interesów amerykańskich z niemieckiemi i wzmagać się pocznie dotychczasowa przewaga gospodarcza Niemiec nad Polską, oraz jej nacisk skierowany przeciwko nam.

Konsekwencje, stąd płynące, wykraczają wyraźnie poza obręb zjawisk gospodarczych. Przewidywać należy w tym wypadku następującą kolejność zagrożeń: 1-o, opróżnienie Nadrenji, 2-o, Niemcy, uzyskawszy osłonę strategiczną od strony Francji, postawią ostro sprawę rozbrojenia, otrzymawszy zaś odmowę, zadeklarują dla siebie swobodę zbrojeń i wzmocnią je znacznie zarówno na lądzie, jak i na morzu. Środków materjalnych po temu dostarczy im rozwój ich gospodarstwa narodowego, jeszcze wydatniej, niż dotąd, zasilonego dopływem kapitału z Ameryki. Nie od rzeczy będzie chociaż wspomnieć przy tem o ujawnionych w Ameryce, w związku z jej kapitalistyczną polityką wobec Niemiec i sporem marynarskim z Anglją, dążeniach do osłonięcia Niemiec przed widmem nowej blokady angielskiej w razie wojny.

Na tle powyższem nadchodzi wiadomość o przyjętym jakoby przez paryską konferencję rzeczoznawców reparacyjnych projekcie międzynarodowego banku dla odszkodowań, inwestycyj kapitału na wschodzie, oraz nawet podobno długów międzysojuszniczych. Z punktu widzenia tendencyj międzynarodowo-politycznych, nurtujących pod powierzchnią zagadnienia reparacyjnego, idea powyższa zmierza w kierunku kompromisowym: ekspansji kapitału zarówno na teren środkowo-wschodni jak sowiecko-rosyjski. W obu przytem wypadkach dopuszcza równoległą, skoordynowaną akcję kapitału europejskiego z amerykańskim, Ententy z Ameryką i Niemcami. Jest to zapewne lepiej, niźli puścić samopas do Moskwy Amerykę wyłącznie za sprawą niemiecką. Czy zaś zyska przytem na gospodarczym objektywizmie również ekspansja kapitału, z udziałem Niemiec, na środkowy-wschód europejski, to zależeć będzie od tego, czyj wpływ w tej finansowej „lidze narodów", z udziałem Ameryki, przeważać będzie. Wiadomo przecież, że w lidze genewskiej nie ona, jako taka, rozstrzyga, lecz kierujące mocarstwa. W danym wypadku okoliczność dodatnią stanowi względna obojętność polityczna Ameryki w sprawach wschodnio-europejskich.

Jako rys najważniejszy uderza w omawianym projekcie, centralizacja kredytu miedzynarodowego. Ten rys, w pierwszej linji, zwraca się przeciwko Sowietom: chodzi o to ażeby do *business*'u z niemi wystąpił cały świat kapitalistyczny równie solidarnie, jak sowiecki „*wniesztorg*" w dziedzinie handlowej występuje wobec świata kapitalistycznego. Wiadomo, że sowiety nigdy niczego bardziej się nie obawiały, niż takiej właśnie solidarnej akcji kapitału. Zważywszy z drugiej strony, że zachodzi uzasadniona oba-

wa, ażeby także wobec państw obszaru środkowowschodniego ów zespół kapitalistyczny nie wystąpił z naciskiem w kierunku jakichś kompensat politycznych za „żyro" niemieckie, stwierdzić należy, iż pozycje taktyczne Rosji sowieckiej i Polski otrzymują nowy bodziec w kierunku zbliżenia. Nietylko nawet Polski i Moskwy, lecz również państw sukcesyjnych, oraz Włoch i Turcji, wszystkich wogóle suwerennych jednostek obu obszarów chłonnych, wobec których kapitał zamierza skoncentrować się we front jednolity. Przypuszczać wolno, że taka przeciwstawna solidaryzacja byłaby na rękę anglo-francuskiej części zespołu kapitalistycznego, bowiem Francja sama dokłada wszelkich usiłowań, ażeby gospodarczo zsolidaryzować Małą Ententę.

Jeżeli istotnie ów zaprojektowany światowy zespół kapitalistyczny dojdzie do skutku, to jedynie światowy przeciwzespół jego możliwych klijentów rozmawiaćby z nim mógł na stopie równości. Istotnej równości, albowiem kapitał, nie wyłączając Niemiec, znajduje się pod niemniejszym przymusem ekspansji, niż obszary chłonne pod przymusem przyjęcia tejże ekspansji. Porozumienie między „klijentami", wzmacniając nastroje pacyfistyczne na wschodzie Europy, działałoby na kapitał przyciągająco. Solidarne między nimi poparcie pozwoliłoby skuteczniej obronić się przed niedogodnymi finansowymi, lub politycznymi, warunkami. W samym zaś fakcie kapitalistycznego zapłodnienia środkowego wschodu Europy, zawartaby została odtrutka przeciwko następstwom kapitalistycznego zapłodnienia Niemiec przez Amerykę. Równowaga rozwoju gospodarczego stanowi najważniejszą podstawę międzypaństwowej równowagi politycznej.

STANISŁAW SZCZUTOWSKI

KRYTYCYZM W KRYTYCE LITERACKIEJ

I

DŁUGOLETNIA obserwacja naszego życia literackiego wyrobiła w piszącym te słowa przekonanie, że rodzajem krytyki, szczególnie miłym zarówno dla twórców jak i dla publiczności, interesującej się ich utworami, jest przedewszystkiem krytyka bez... krytycyzmu. Oczywiście mowa tu o t. zw. krytyce bieżącej.

Najbardziej utalentowany powieściopisarz np. — w dodatku pewny powodzenia — zawsze będzie wolał taką recenzję swej powieści, która bez zastrzeżeń wychwala tylko jej zalety, od takiej, gdzie obok nich mówi się także i o jej usterkach. Autorowie, co ich wytknięcie przyjmują bez pretensji do krytyka, należą do wyjątków.

Pochwały, choćby zdawkowe, niezbyt szczere bądź przesadne, przyjmują wszyscy z zadowoleniem, natomiast słuszne zastrzeżenia, nawet poprzedzone szczerem uznaniem, są najczęściej powodem przekąsów i narzekań na nietrafność uwag recenzenta.

Z dwóch życzliwych, w gruncie rzeczy, krytyk, większość twórców głębiej będzie nosić w sercu swojem wdzięczną pamięć o tej, która chociaż niezupełna, podnosiła tylko dodatnie strony ich utworów, niż o tej, która niepomijała ich stron ujemnych i obejmowała całość rzeczy.

Szerokiej publiczności krytycyzm krytyki także niezbyt dogadza. Z tej strony oczekują przedewszystkiem od krytyki niedwuznacznej odpowiedzi na pytania:—czy ten lub inny autor ma talent, czy warto go czytać, czy też można o nim nic nie wiedzieć, czy rzecz jego jest zajmująca, bądź nudna i t. d?

Mało komu zależy tu na głębszem wnikaniu w istotę utworu, na wszechstronnej ocenie jego wartości.

Wśród czytającej publiczności wszakże istnieją rozmaite grupy i koterje, świadomsze rzeczy literackich; grupy różniące się między sobą upodobaniami, aspiracjami, ideałami estetycznemi, społecznemi i t. p.

Każda z owych grup ustosunkowuje się do istniejących rodzajów i kierunków twórczości oraz do ich wyrazicieli podług tego, co i kto czyni lepiej zadość jej umiłowaniom, wiarom i tęsknotom. Każda koterja ma swoich ulubionych autorów — tu się rodzą i utrzymują fanatyczne kulty dla jednych, lekceważenie zaś i niedocenianie innych. I tu więc krytycyzm krytyki uznawany jest nie jako nieodzowny jej artrybut, lecz o tyle tylko, o ile sprzyja koteryjnym uwielbieniom i zachwytom, bądź też negacjom i antypatjom, o ile uzasadnia słuszność powyższych usposobień.

Nasza krytyka bieżąca dostraja się, w większości wypadków, do takiego stanu rzeczy. Ta, która jest przeznaczona dla szerokiej publiczności, dogadza wszystkim: — czytelnikom, autorom, wydawcom; tu więc krytycyzm rzadko się objawia i zastępuje go najczęściej potoczyście frazeologiczna „bezstronność" oceny danego utworu, która nikogo zbytnio nie rozgrzeje, nikogo również nie zrazi, niczego rzetelnie nie wyjaśni, niczego należycie nie oceni. Pomijając zwykłą reklamę, lub sumienną informację, ten rodzaj krytyki jest pospolitą, rzadko użyteczną, gawędą o bieżących faktach literackich.

Krytyka reprezentująca upodobania i poglądy poszczególnych grup i kół, mniej lub więcej zaprzątniętych sprawami literackiemi, także dogadza owym jednostkom zbiorowym, tu jednak krytycyzm ma większe pole do popisu.

Pobudza do niego zarówno entuzjazm dla jednych zjawisk twórczych, jak i negatywny znów stosunek do innych. Tu wszelako swobodny, konsekwentny jego rozwój bywa hamowany i wypaczany, w pierwszym wypadku uwielbieniem bez zastrzeżeń, w drugim — namiętnością negacji. Entuzjazm podnieca nasze zdolności wzruszeniowe oraz poznawcze, co też powiększa nasze odczucie i rozumienie danego zjawiska twórczego, słowem zwiększa nasz krytycyzm dodatni w stosunku do niego; zarazem jednak zatrzymuje nas głównie na tych jego cechach i wartościach, które najsilniej nas poruszyły, dotknęły naszą wrażliwość uczuciowo-intelektualną, odwraca zaś uwagę od tego wszystkiego — od wszelkich ułomności i błędów — co mogłoby nam zmniejszyć przyjemność wzruszeń, słowem z drugiej strony zacieśnia nasz krytycyzm. Namiętność negacji tak samo odbija się na naszym krytycyzmie.

Rodzaj krytyki, mający za punkt wyjścia umiłowania bądź antypatje, panujące w odrębnych grupach, wydał wiele pięknych utworów krytycznych, przyczynił się do uprawomocnienia krytyki jako samodzielnej

twórczości; wiele on odczuł i zrozumiał, wniknął głęboko i przejął się szczerze pięknem dzieł artystycznych, które narzucił uwielbieniu rzesz ludzkich, — krytycyzm wszakże jego rzadko tu osiągał swą pełnię i ukazywał się w stanie czystym, częściej schodził na bezdroża i innych za sobą tam pociągał. Dzieje powszechne krytyki dostarczają nie mało na to dowodów. (Z mniej znanych przytoczę tu entuzjastyczne wywyższenie przez I. Ruskin'a twórczości średniowiecza, słuszne zresztą, ale idące w parze z niedocenieniem twórczości Renesansu. To samo w ostatnich czasach, powtórzył C. Mauclair. Dalej np. kult W. Hugo, niespostrzegający rażących w jego dziele twórczem ułomności oraz przesady werbalnej i t. p., także kosztem prawdziwie wielkich twórców, jak Baudelaire, Mistral i t. p.).

Już nie wspominam o zubożeniu krytycyzmu w tym rodzaju krytyki, wskutek rozważania dzieł literackich np. ze stanowiska „postępu" czy też „reakcji", pod kątem „interesu proletarjatu" i t. p. W tym wypadku, wskutek tego lub innego doktryneryzmu, najoczywistsze nawet zdolności krytyczne zamiast zbliżać ludzi do prawdy, do lepszego poznania rzeczywistości, rodziły nieraz fałszywe o niej pojęcie.

Mógłby ktoś tu zauważyć, że niepodobna jednostce ludzkiej wyjść poza tę lub inną grupę społeczną, uwolnić się od jej wpływów, jak niepodobna wyjść po za własne „ja" i nieulegać jego naciskowi.

Nie mam zamiaru poruszać tu zagadnienia—czy możliwa jest krytyka objektywna?, albo—co jest lepsze: krytyka dogmatyczna czy impresjonistyczna? — rozstrzygać słowem kwestyj z zakresu krytyki literackiej, tak niegdyś żywotnych za czasów Lemaitre'a, A.France'a, Brunetiére'a i t. p. Nie o to tutaj chodzi. To prawda, że trudno jest także i krytykowi wyjść poza swoje „ja" i nie rozważać zjawisk literackich bez udziału własnej wrażliwości uczuciowo-intelektualnej. Najobjektywniejsza krytyka będzie zawsze miała pobrzask impresjonistyczny, subjektywny.

Cała rzecz polega jednak na tem, czy krytyk usiłuje wyjść poza swoje „ja", i czy jego wrażliwość subjektywna nie wyrzeka się zgóry dążenia do objektywizmu.

Ujawniać się on może, na tle szczerze impresjonistycznem, jako dokładność analizy psychologicznej i estetycznej (sposób wyrażenia uczuć oraz idej), jako słuszność rozumowania, wytrawność sądu, wytworność smaku (tak, tak! stary „dobry smak" bez którego trudne jest odróżnienie pozorów piękna od jego prawdy, rzeczy ważnych od znikomych i t. p. *etc.*), a to wszystko, mieści się w krytycyzmie.

Bez tego wszystkiego, t. j. bez istotnego krytycyzmu najżywsza nawet wrażliwość, drgająca, jak mimoza, w zetknięciu z dziełami twórczości artystycznej, nie wydobędzie z nich pełnej ich wartości, nie wyrazi ich piękna całkowitego.

Jakkolwiekbądź bez krytycyzmu nie może się obyć prawdziwa krytyka. Krytyk, czy kto wątpi czy też nie o pożytku dla ewolucji literackiej jego czynności, winien jest ów krytycyzm naprzód sobie samemu, jeśli ma poczucie własnej godności jako jednostka, dbała o niezależność swej myśli, swojej duszy. Następnie winien go twórcy literackiemu, którego, jeśli jest w istocie zjawiskiem niepowszednim, będzie mógł należycie uczcić, wykazać całą jego wartość wówczas, gdy zastosuje do niego i jego twórczości szeroką skalę krytyczną. Wreszcie winien jest go czytelnikowi, którego w ten sposób tylko może zachęcić do umieszczania swych szczerych uczuć tam, gdzie nie doznają zawodu — i ostrzec przed zużywaniem cennego daru wielbienia na rzeczy niegodne jego zapału.

Dodam jeszcze, że pozbawiona istotnego krytycyzmu krytyka nie może rościć pretensyj do miana „sumienia" sztuki, czy też „najwyższej świadomości" swoich czasów, za co nieraz pragnie uchodzić.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

(Dok. nast.)

OSTATNIA PRACA SAMOTNEGO

„Na dwa pale wbić serce... Tu — słyszeć wesele i śpiewy i pogodne harmonijne dźwięki, a tam — ostatnią czkawką skrzypiące gardziele i łzy i boleść widzieć; tu — miluchne ręce, splątane w słodki węzeł, w liturgiczne szczęście, a tam — nie widzieć nawet ani jednej ręki, którąby niosła pomoc rozbolałej męce i tylko hieroglify niemych cierpień... pięście".

Cyprjan Norwid

CZŁOWIEKU samotny, najsamotniejszy! Człowieku w pustyni ludzkiej. Któryś odgrodzony od innych przepaścią nieprzebytą bezczucia i nienawiści. Któryś ufał w płodne działanie dusz na dusze. Któryś kochał życie ludzi. I któryś na końcu dróg swoich znalazł — samotność, a na końcu wysiłków — ugory.

O ty, samotny, pośród samotnych. O tobie myślę, do ciebie mówię. Pragnę, abyś w samotności swojej nie był samotnym. Pragnę dla ciebie — świadka i pracy. Abyś w najsamotniejszej godzinie twojej miał jeszcze: pracę i radość i triumf pracy. I nadzieje w pamięci o tej pracy twojej.

Człowieku, pracowita, tragicznie pracowita istoto! Pracuj i w tej godzinie ostatecznego rozbicia. Pracuj, a w pracy tej niechaj będzie zbawienie twoje.

Pracy wiary pragnę dla ciebie o ty, samotny pośród samotnych!

*

Walczyć z losem — ale godzić się z losem. To są nasze święte prawa. Walczyć — na to bowiem męstwo dała nam przyroda nasza. Walczyć — albowiem męstwo przyrodzone, w naszych najlepszych godzinach widzieliśmy, jak się hartowało w obowiązku męstwa, co nam błyska ogniem szlachetnym z serc bohaterów.

I poddawać się losowi — albowiem miłość nasza winna nas wydźwigać na poziom najwyższych cierpień Rzeczywistości. Męstwo nas wynosi ponad los. Miłość nas ugina pokornie popod los. Męstwo nas wyosabnia. Miłość nas przekonywa, iż jest świat poza nami. Świat, w którym cierpią istoty rzeczywiste. Miłość t a m chce być. Dwie drogi wiodą z głębin macierzystych naszej świadomości, w świat: Drogi skrzyżowane prostopadle: Miłości i męstwa. Oto jest rozterka wieków — i rozterka twoja; oto jest zadanie wieku — i zadanie twoje.

Swoją osobność zdobywać męstwem, co obdarza szczęściem szczęśliwych. I swoją osobność niszczyć miłością, co dla siebie niczego nie pożąda, prócz krzyża cierpień.

Kroczyć krokiem tanecznym i zbrojnym po słońcu. I bezsennie, z dłonią przy uchu, nasłuchiwać dalekich pojęków nocy.

I sprzeciwiać się złemu, póki starczy tchu. I nie sprzeciwiać się złemu, aby stać się najmniejszym z najmniejszych. Oto dwie drogi człowiecze.

*

Wychodzić w świat po szczęście, ale pod znakiem krzyża. To znaczy: We własne serce wbić krzyż. To znaczy: Odrazu rozedrzeć siebie pomiędzy męstwo przyrodzone a rezygnację ze zwycięstwa. To znaczy: Pośród szczęścia, miłości, przyjaźni i podziwu czuć się samotnym ze samotnymi. To znaczy: Bronić szczęścia— i lękać się braku nieszczęścia. Zdobycze swego życia utrwalać i zarazem wartość ich niszczyć w sobie. Żyć w nieustawnym sprzeciwie niebezpieczeństwom— i w nieustawnem pragnieniu cierpień. I dlatego: Za każdą chwilę ukoju, błogości, dosytu, rozkoszy — pokutować i płacić. Nic za darmo. Płacić nieustannie uczynkiem — i westchnieniem... Nie wyrzekać się chwil osobności i zadowolenia — ale w każdej mieć bicz, który pogania, gwóźdź, który kole, siłę, która pracuje. Nie wyrzekać się nigdy i wyrzekać się zawsze. Na dwa pale wbić serce... Oddalać kielich — i podnosić go do ust...

*

Prototyp modlitwy — modlitwy, która streszcza całe życie po chrześcijańsku: *Panie, oddal ten kielich goryczy ode mnie*! (I tu punkt wyjścia drogi męstwa) przyzwolenie na działanie dla szczęścia, — ale potem: *Nie moja, lecz Twoja wola niech się stanie*! (Punkt dojścia drogi miłości).

*

I zawołał wielkim głosem: *Boże, Boże, czemuś mnie opuścił?*

Obawo, obawo potworna!... Więc i ON?... ON, KTÓRY WIEDZIAŁ O SOBIE, IŻ JEST SYNEM BOŻYM?...

Pustka była wielka i wielka nieruchomość popołudniowej godziny. W tej pustce działa się ostatnia, straszliwa a błogosławiona, praca samotnego.

Milczenie było... i powolne, powolne, składanie się czasu... rozdzierające, nieubłagane pragnienie ciała: *Pić, pić, kropli wody.* A w tem milczeniu, w tem pragnieniu, w tem głuchem, powolnem, turkotaniu nieboskłonów — wypracowało się to ostatnie westchnienie: *Boże, w ręce Twoje oddaję duszę moją.*

I dokonało się.

*

Człowieku samotny! Człowieku w pustyni ludzkiej; któryś pragnął życie ludzi czynić bogatem w podziw, pogodnem, ufnem w człowieka, prostotnem, bezkłamnem, heroicznem. I któryś poznał węża, nie ludzi.

Pracuj i w tej godzinie ostatecznego rozbicia. Nie płacz. Tocz swój ostatni bój: O zaciśnięte zęby.

Ale zaprawdę, nie pogardzaj sobą, jeśliś zapłakał, jeśliś zwątpił na chwilę, sam na sam pozostawszy z pustką, z zatratą.

Nie gardź sobą. Ale wypracuj w sobie tę jedną wiarę—wiarę we Wieczne Obcowanie:

Że żadne, najsamotniejsze zwycięstwo twoje, od nikogo nie widziane, od nikogo nie chwalone, nie straci się. Że cierpieniem w miłości i męstwem w cierpieniu służysz KOMUŚ, że praca twoja KOMUŚ potrzebna i KTOŚ ci dopomaga. Że wzbogacasz nią SKARBIEC WIECZYSTY miłości i męstwa—skarbiec, z którego czerpią samotni, gdziekolwiek są: czy za ścianą twoją, czy na jakiejś gwieździe najdalszej, pośród otchłani nieb... I że znowu płyną zeń do ciebie Strugi Łaskawe miłości i męstwa. W ostatecznej obieży opierającego się życia zespala się męstwo z miłością: samo sobie już nie starcza, odżywia siebie wiarą miłości, że nie służy li-samemu sobie... (Tu, łukiem, zawróciły ku sobie drogi).

Trzymaj się nadziei owej oburącz. To jest twój W i e l k i E k s p e r y m e n t. Jeśli zbawienie jest — czyliż może być—bez Pracy?

Człowieku, samotny pośród samotnych! Gotuj się całem życiem, poprzez pożądania i szczęścia i walki i rozbicia — do tego jednego, straszliwego westchnienia: *Boże!.. W ręce Twoje...*

*

Cyfry, które mózg ugniatają i gnębią ducha. Wiekuiste, fatalne, senne, kołowroty atomów. Wyuzdane, bezrozumne skoki życia. Uwiądy wartości. Pociechy niepocieszonych. Rzezie niewiniątek. Bestjalstwo głupich. Zwątpienie mądrych. Rozproszenie dobrych. Niemoc słowa. Samotność najbliższych. Djalektyka cnót i grzechu, zwycięstwa—klęski. Tępota dobrej woli. Niesamowite, niepojęte chody dziejów. Rozpacz sprawiedliwych. I tamto wołanie wielkim głosem... A t e n — t a m — p o l e w e j s t r o n i e?...

Przypomnienie groźne—przypomnienie—zmory!..

Przypomnienie błogosławione — przypomnienie— ostoja!..

Pustkowia i zawikłania. Rozszalała, przeolbrzymia, czarowna czarem zniszczeń i opętań, wabiąca w bezdeń—Powódź.

*

Ale nad tem wszystkiem ten punkt przedziwny, jedyny, od którego oczu, raz wpatrzonych, nie oderwać: Owa Paradoksalna Szubienica — owe dwa drągi nieznośne, brutalne, haniebne, zbawcze, złożone w krzyż.

Punkt przedziwny, stateczny, ku któremu ściągają się, na którym się osadzają rozproszone drobiny naszej nadziei wbrew wszyskiemu. Iglica naładowana zaufaniem wieków.

Bezbrzeżna samotność — i wszechludzka współpraca samotnych: Modlitwa. Na ostatniej, najostrzejszej granicy—usiłowań i możności. Energja nie wyczerpana, co zaufała—TAJEMNICY SWEGO NIEWYCZERPANIA.*)

(1922—Wielki Post 1929).

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

---

*) *Postscriptum.* Są dwa sposoby podchodzenia ku tajemnicom religijnym: jeden, że tak powiem, „o d d o ł u' („induktywny"), drugi — „o d g ó r y" („deduktywny"). Można mianowicie zacząć poprostu od intensywnego osobistego życia, w zmaganiu się z oporami życia zauważyć, przypomnieć pewną tradycję dziejową, starać się wejść po ludzku w psychologję Człowieka-Wzoru, przez tradycję ludzką przekazanego—i dopiero ze szczytów tej ludzkiej psychologji dojrzeć, gdzieś po drugiej stronie, cudowną zorzę spraw nadludzkich--rozradować się świętym podziwem. Ale też można o tajemnicach mówić tak, jakby się je g o t o w e posiadało w zasobie pewnych zdań — no i gorszyć się wtedy pierwszym sposobem; ale cóż wtedy pozostanie do bogobojnego zdumienia?.. Wartość obu sposobów łatwo rozróżni każdy, kto zdaje sobie sprawę z różnicy między w e r b a l i z m e m a k o n k r e t y w i z m e m życia duchowego; komu zależy nie na łatwem, a złudnem, łowieniu rzeczywistości w łupinki s ł ó w, ale na d o c i ą g a n i u s i ę do rzeczywistości zapomocą kosztownych, konkretnych d z i a ń s i ę psychicznych. Tak więc, „krzyż wbity na Golgocie" będzie czczym dźwiękiem, czysto optycznem wyobrażeniem, konwencjonalną, beztreściwą daią—dla każdego, kto naprzód „na własnem sercu krzyża nie wystawi". Od dołu—od siebie!.. Przez miazgę żywą t r e ś c i s e r d e c z n e j — nie przez łupiny chude abstrakcyjnych — (pomocniczych tylko)—n a z w a ń!.. Kwestja zapatrywań na istotę i działanie m o w y.

LIBERUM VETO

Bagno sanacji i nieskończony łańcuch jej przewinień. — Wystąpienie Prezydenta. — Plugawa niewdzięczność. — Druga ofiara. — Tylko o kleszeń a nie o dobro społeczeństwa.

WĄTPLIWOŚCI już zniknęły. Dziś stało się powszechnem przekonanie, że sanacja z uzdrowienia zamieniła się w zarazę, że ugrzęzła w paskudnem bagnie. Ta tylko między jej udziałowcami zachodzi różnica, że jedni stoją w niem zanurzeni po kostki, drudzy po kolana, inni po pas, po brodę, a inni zapadli z głową. Prawdopodobnie będzie ona jeszcze przez jakiś czas usiłowała obmywać się z błota uperfumowaną kłamstwami i oszczerstwami wodą ze zbiornika funduszów „dyspozycyjnych", dawniej nazywanych „gadzinowemi" *(Reptilienfond)*, ale ta kąpiel gadów musi wreszcie się skończyć, jak kończą się wszystkie przedsięwzięcia poczęte z nieprawości. Po zamachu majowym „sanacja" obiecywała społeczeństwu wszystkie rozkosze i dobrodziejstwa raju a zwłaszcza oczyszczenie życia państwowego z miazmatów moralnych, tymczasem rozszerzyła taką zgniliznę, pokalała się tyloma gwałtami i bezprawiami, że wskrzesiła przedstuletnią epokę upadku Polski z tą gorszą różnicą dla obecnej doby, że nadużycia nie są reżyserowane i spełniane przez obcych najeźdźców, ale przez rodaków. Codziennie gazety nieprzerwanym łańcuchem wykazują szereg bezkarnych a nawet sławionych czynów samowoli i cynizmu, naruszających zasadnicze prawa konstytucji i reguły moralne, grożących ruiną i rozstrojem państwa. Przez koła maszyny administracyjnej przebiega pas transmisyjny, który je porusza siłą bezprawia. Staliśmy się przedmiotem urągań zagranicy, która nas lekceważy, a jeśli tego nie mówi głośno, to tylko bądź z pobudek taktyki politycznej, bądź dla osłonięcia swych wrogich planów.

Są pewne znaki, pozwalające przypuszczać, że p. Prezydent Rzeczypospolitej usiłuje swoją powagą i staraniem wprowadzić jakiś ład do tego chaosu i powstrzymać proces rozkładu wewnętrznego. Powitalibyśmy taki zamiar z wielkim uznaniem. Pomimo skrępowania konstytucyjnego, głowa państwa nie może i nie powinna być tylko bezwładną pieczęcią, wyciskaną podwładnemi rękami na aktach rządowych. Samo życie zmusza ją do wyjścia z obojętnej bierności i spełnienia obowiązku służby narodowi, zawichrzonemu, krzywdzonemu i zagrożonemu niebezpieczeństwem zabójczego osłabienia. Kiedy trzeba wybierać pomiędzy szkodliwą lojalnością a pożytecznym czynem, żaden patrjota na żadnem stanowisku nie może się wahać. Zresztą zwiększony udział prezydenta w rządzie nie powinienby razić nawet bigosowego stronnictwa B. B., dziś gospodarującego w kraju, skoro ono rozszerzyło jego prawa w swym projekcie konstytucji aż do przywilejów nieograniczonego monarchy. Może tylko „twórcom radości" nie podobać się, gdyby berło jego nie było pałką kliki, a gronostaje na jego płaszczu nie z jej skórek.

Nie było ani słowa przesady w pochwalnej mowie Poincarégo nad trumną Focha. „Płomień, który zgasł, był jednym z najgorętszych i najczystrzych, jakie kiedykolwiek rzucały blask na ziemię. Nie miał innej ambicji, jak służenie, nie żądał innej nagrody, jak uczucie spełnionego obowiązku. Do bitew prowadził nie kolumny wojsk, ale narody. To też żałobę po nim włożyła duża część ludzkości". Tak jest, ten prawdziwie wielki człowiek i największy w historji wódz, rzeczywiście wyświadczył nieśmiertelną usługę nie tylko Francji, ale ludzkości. Przybyli też na pogrzeb dla złożenia mu hołdu najznakomitsi przedstawiciele i dostojnicy wszystkich narodów, które zawdzięczają mu swoją wolność i bezpieczeństwo. Tylko od Polski pojechali nn to uroczyste i zarazem smutne święto: gen. Romer i kilku posłów sejmowych. Jak gdyby złe robactwo mogło zjeść liście wawrzynów takiego bohatera, prasa sanacyjna usiłowała go zmniejszyć do rozmiarów swych pyszczków, żądeł i gruczołów jadowitych. „Karły, karły— krzyknęła ze zgrozą „Polonia" katowicka—bez uczucia wstydu i taktu!" Ciekawa byłaby odpowiedź tych karłów, coby się stało z nami, gdyby Foch nie rozgromił ujarzmicieli Polski? Odpowiemy za nich: „Bylibyśmy wszyscy niewolnikami skazanymi na śmierć polityczną, bez możliwości i nadziei wyzwolenia, a sanatorzy byliby może parobkami we dworach i posługaczami w biurach niemieckich". Wobec tej niewątpliwej możliwości, w jaką bezdeń upodlenia trzeba rzucić duszę, ażeby ona nie odczuła wdzięczności dla zbawcy i jeszcze zdobyła się na odwagę lekceważenia jego wielkości i zasługi.

Przyznać trzeba, że „sanacja" posiada rycerzy bezwrażliwych i śmiałych. Zdawało się, że po oburzeniu, jakie w opinji całego społeczeństwa po za „publikanami" wywołało usunięcie Seydy ze stanowiska prezesa Sądu Najwyższego, p. Car nie będzie miał odwagi powtórzyć swego bohaterstwa. Zawiodła nas stawka na jego poczucie prawa i liczenie się z głosem ogółu. Bez powodu, bez szacunku dla wartości i zasług niepospolitego człowieka, odprawiony został, jak hardy i niezdatny służący, drugi prezes tego sądu, Al. Mogilnicki. W motywach tej dymisji można tylko przytoczyć, że był to charakter niepokalanej uczciwości i niezłomnej siły, sędzia, który nigdy nie odchylił się na odrobinę od pionu prawości, znakomity uczony i autor dzieł poważnego znaczenia. To wystarczyło. Patrjota, który wie, jak mało jest w Polsce obecnej ludzi wysokiej miary umysłowej i moralnej, który rozumie, jak oni są niezbędni dla życia i pomyślności narodu, oceni należycie zarówno wielkość tej straty, jak małość pobudek, które ją wyrządziły. Richelieu mówił: „Dajcie mi trzy wiersze pisma kogokolwiek, a ja zobowiązuję się skazać ich autora na szubienicę". U nas nie potrzeba nawet tych trzech wierszy i nie potrzeba być Richelieu'm. Wystarczy zwyczajny rekrut ubrany w mundur generalski i jego rozkaz. Z najznakomitszymi i najgodniejszymi czci ludźmi — w Polsce robi się to samo, co zrobiono z pomnikiem moskala Paskiewicza na dziedzińcu gmachu Rady ministrów: zakłada się im sznur na szyję i zwala się na ziemię, pozostawiając tylko piedestał i otaczający go kwietnik.

Jak anegdotyczny wąż morski, który ciągle tonie i wynurza się, a nikt go schwytać nie może, pływa ciągle po prasie sprawa uposażenia urzędników. Nie myślę odmawiać jej słuszności, ale zdumiewa mnie stałe ograniczanie jej do zakresu wymagań materjalnych. We wszystkich uchwałach zjazdowych, w przedstawieniach deputacyj, w mowach sejmowych, w artykułach dziennikarskich jest mowa tylko o pensjach, poborach, dodatkach mieszkaniowych i t. d., ani słowa zaś o strasznej chorobie, niszczącej organizm społeczny, o rozroście biurokracji, tamującej prawidłowe działanie maszyny państwowej, o tej pladze, która przecie łączy się ściśle ze sprawą urzędniczą i warunkuje pomyślne jej rozwiązanie. Wszystkie usprawiedliwienia i frazesy adwokackie nie zasłaniają faktu, tysiącami dowodów stwierdzonego codziennie, że społeczeństwo często złorzeczy formalizmowi i opieszałości. Prawdopodobnie po lepszem uposażeniu urzędników możnaby dobrać pracowników zdolniejszych i sumienniejszych, zwłaszcza przy zreformowaniu organizacji administra-

cyjnej i usunięciu z niej austryjackich zawalidrogów. W marcowym zeszycie Naukowej organizacji zamieszczono wykresy, ilustrujące przykładowo przebieg „załatwienia spraw w wydziale administracyjnym jednego z urzędów państwowych" i „przebieg załatwienia zapotrzebowania na jeden cyrkiel w jednym z urzędów państwowych". Przypatrując się tym figurom, wyobrażającym w kilkudziesięciu prostych i krzywych linjach wędrówką drobnych i łatwych spraw po rozmaitych stacjach nie wiadomo, czy się śmiać z tej kołowacizny, czy oburzać tą szkodliwą bezmyślnością. Poprostu chce się krzyczeć. A rozbijcież już raz ten głupi i dokuczliwy labirynt próżniaczo-bezpłodnej formalistyki, która niszczy i paraliżuje życie narodu!

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

STRONNICTWO NARODOWE

ZEBRANIA Rady Naczelnej Stronnictwa Narodowego są momentami ważnemi w życiu tego stronnictwa, które reprezentuje w społeczeństwie znacznie więcej, niż pracę organizacyjną swoich kadrów regularnych. Łącznie z Obozem Wielkiej Polski, organizacjami młodzieży we wszystkich sferach społeczeństwa reprezentuje ono wielki prąd, w który spływa cały nurt życia świadomie narodowego. Tamy, temu prądowi stawiane z najrozmaitszych stron, mają na celu osłabienie tętna życia narodu. Obawiano się go, gdy niósł w sobie zapowiedź zjednoczenia i niepodległości; usiłują go rozbić, aby odjąć Polsce charakter państwa narodowego.

To też główną siłą stronnictwa Narodowego jest siła moralna, związana z jej rolą w społeczeństwie. Nadaje ona szczególne znaczenie działalności stronnictwa, nie dające się porównać z rolą żadnej innej grupy politycznej. Ma za sobą w każdej potrzebie opinję zdrowych umysłowo i moralnie ludzi w kraju. Motywy jego działalności i cele najlepiej są rozumiane przez historję narodu — to jest tajemnica wpływu moralnego tego stronnictwa.

W czasach mody na materjalistyczną ocenę sił, w czasach popisywania się efektami faktów zaskakujących, efektami przewag mechanicznych, cynizmu demagogicznego i chamstwa, świadoma swoich przewag moralnych, spokojna działalność stronnictwa Narodowego znalazła wśród szerokich mas narodowych więcej uznania, niż to mogą spostrzec jego wrogowie po objawach zewnętrznych. Nie zdają sobie jeszcze sprawy, że te siły, które ich opadają, gdzieś przechodzą.

Nieliczna garstka reprezentacji parlamentarnej tego stronnictwa, przemocą okrojona, zdołała dokonać pracy w ostatniej sesji, której wyniki są odwrotnie proporcjonalne do sił liczebnych Klubu. Zrozumiano wymowę tego faktu w parlamencie, w rządzie i społeczeństwie. Rada naczelna, która w dn. 7 b.m. pod przewodnictwem Joachima Bartoszewicza zebrała się na naradę, stwierdziła ten fakt z uznaniem, składając klubowi parlamentarnemu w osobie prezesa Romana Rybarskiego podziękowanie.

Rada Naczelna powzięła w tym dniu szereg uchwał, które podajemy niżej za „Gazetą Warszawską":

1. Rada Naczelna, przyjmując do wiadomości sprawozdanie o działalności Komitetu Politycznego Stronnictwa Narodowego, Klubu Parlamentarnego i Zarządu Głównego Stronnictwa, wyraża pełne uznanie władzom Stronnictwa za ich działalność, za zdecydowaną walkę w obronie stanowiska Kościoła Katolickiego w państwie, zdrowia armji, porządku prawnego i ładu społecznego oraz oszczędnej i prawidłowej gospodarki państwowej.

2. Rada Naczelna przyjmuje do zatwierdzającej wiadomości projekt zmiany Konstytucji Marcowej, opracowany przez Komitet Polityczny, w myśl programowych tez Stronnictwa, w przekonaniu, że projekt ten wykazuje należytą drogę ku naprawie naszego ustroju.

Rada Naczelna wzywa władze Stronnictwa do utrwalenia w szerokich kołach świadomości, że w interesie naszego państwa niezbędne jest stanowcze przeciwstawienie się szkodliwym projektom zmiany Konstytucji, proponowanym przez Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem i przez stronnictwa lewicowe.

3. Rada Naczelna stwierdza, że wszelkie próby wyjścia z obecnych trudności, omijające drogę prawa, mogłoby się łatwo zakończyć, w obecnem zewnętrznem i wewnętrznem położeniu państwa, katastrofą gospodarczą i finansową.

Rada Naczelna uważa, że same nawet zamysły i zapowiedzi, idące w tym kierunku, są szkodliwe dla poczucia prawnego społeczeństwa i podkopują kredyt państwa.

4. Rada Naczelna stwierdza, że enuncjacja p. ministra spraw wojskowych, ogłoszona dn. 7 kwietnia r. b., a napisana, jak zaznacza jej tytuł, przez człowieka chorego, zarówno ze względu na swą treść, jak i formę, nie wymaga odpowiedzi. Rada Naczelna wyraża jednak przekonanie, że samo ogłoszenie tej enuncjacji, za co rząd ponosi odpowiedzialność, szkodzi interesom i powadze państwa.

4. Wobec niebezpieczeństw, grożących naszemu państwu, wobec chaosu, jaki się wytworzył w obozie rządowym, Rada Naczelna wzywa władze Stronnictwa do jaknajenergiczniejszej pracy organizacyjnej, celem skupienia w obozie narodowym najszerszych kół społeczeństwa, świadomych swej odpowiedzialności za losy narodu i państwa.

WIĘCEJ POWAGI

WESZŁO w zwyczaj — szczególnie w Warszawie — że, jeżeli jakieś zdarzenie polityczne, mowa, oświadczenie, ze względu na brak sensu wewnętrznego, trywialność formy i t. p. nosi na sobie piętno pewnej, przykrej zresztą, śmieszności, wówczas śmieszność ta uważana jest za cechę zdarzenia najważniejszą, a rzecz cała traktowana zostaje przedewszystkiem jako temat żartów, anegdot, dowcipów. Wytworzył się u nas sposób patrzenia na objawy groźne i upokarzające, jakby na wesołą „rewję polityczną" w teatrzyku. Przeciętny inteligent dzisiejszy niejednokrotnie zanosząc się od śmiechu odczytuje w dziennikach rzeczy, które u następnych pokoleń wywoływać będą przedewszystkiem palący rumieniec wstydu.

Nie jest wcale rzeczą komiczną widok człowieka chorego, w przeciwnym bowiem wypadku najweselszemi chyba lokalami na świecie stałyby się szpitale obłąkanych. Tembardziej nie są widowiskiem zabawnem bolesne niedomagania duszy zbiorowej narodu. W pierwszych latach po odbudowaniu Państwa, kiedy jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy ze straszliwych możliwości pewnych sytuacyj, ujmowanie niektórych faktów „na wesoło" mogło było być w znacznym stopniu usprawiedliwione. Najweselszy jednak żartowniś przyzna, że zdarzały się w dziejach narodów tragedje, gdy najbardziej rozbawionym lekkoduchom odchodziła ochota do facecyj: kiedy cześć człowieka, honor, przysięga deptane były w błocie, kiedy brat strzelał do brata—nikt zapewne nie uczuwał skłonności do pustoty.

Oczywiście, w starciu z przeciwnikiem nie należy pozbawiać się broni tak cennej i niezawodnej jak ośmieszenie. Nic słuszniejszego, aniżeli od wieków wypróbowana metoda satyryków starożytnych: „*ridendo castigare mores*". Nic tak skutecznie, jak żart dobrze utrafiony, nie przekłuwa wydętych pęcherzy, nie doprowadza do właściwej miary sztucznie rozreklamowanych „wielkości". Głęboka mądrość zawarta jest jednakże w uwadze Mickiewicza:

„Nieźle to jest być śmiesznym. Żartowano z panów,
Z mędrców, z wodzów, z poetów, z lekarzy, z kapłanów,
Wszystkich na śmiech wystawił dowcipek ucieszny,
Prócz jednego szatana. On jeden nie śmieszny".

Nie jest śmieszne to co, jest złem i tylko złem.

J. R.

RUGI

KILKA tygodni temu Minister Sprawiedliwości Car na posiedzeniu komisji sejmowej oświadczył, że zmuszony jest przenieść w stan spoczynku jednego z sędziów Sądu Najwyższego. Aczkolwiek minister nazwiska owego sędziego nie wymienił, sfery sądowe wiedziały dobrze, że dotyczyło to prezesa Mogilnickiego. Pomimo wszakże takiego przygotowania, dymisja Mogilnickiego, postanowiona w połowie stycznia, oficjalnie zaś ogłoszona w ostatnich dniach marca, wywołała w świecie sądowniczym przygnębiające wrażenie. Motywy dymisji nie zostały ogłoszone i szerszy ogół niezbyt jasno zdaje sobie sprawę z tego, co mogło skłonić sfery rządzące do przeniesienia w stan spoczynku zasłużonego, długoletniego sędziego i wybitnego prawnika, piastującego w sądownictwie jedno z najwyższych stanowisk. Najbliżsi jednak współpracownicy prezesa Mogilnickiego nie kryją się z tem, że niełaska w jaką popadł Sąd Najwyższy wobec rządu, sięga czasów niezbyt odległych, a mianowicie okresu wyborów do Sejmu i Senatu. Wtedy bowiem Sąd Najwyższy między kandydatami na Jeneralnego Komisarza Wyborczego nie przedstawił p. Cara, ówczesnego wiceministra Sprawiedliwości, który jednak pomimo to został owym komisarzem.

Przypomnieć również wypada, że zastępcą Komisarza Wyborczego został mianowany ówczesny wiceprezes Sądu Apelacyjnego p. Dutkiewicz, od niedawna prezes tegoż Sądu. Nic więc dziwnego, że obecny Minister Sprawiedliwości p. Car, którego z tych, czy innych względów Sąd Najwyższy nie uznał za odpowiedniego do objęcia urzędu Jeneralnego Komisarza Wyborczego, czuł się tem mocno dotknięty. Wkrótce przyszło przeniesienie w stan spoczynku czołowych osobistości Sądu Najwyższego, prezesów Seydy i Mogilnickiego. Wynikły w okresie wyborów konflikt między rządem a Sądem Najwyższym był swego czasu szeroko komentowany i znalazł ocenę w prasie stołecznej. Niezależnie od tego konfliktu prezes Mogilnicki wystąpił z rzeczową, acz ostrą krytyką projektu ministerjalnego dotyczącego ustroju sądów powszechnych, nie tając się ze swym na ustrój poglądem; z podobnemi krytykami projektu występowali i inni, jak np. sędzia Sądu Najwyższego p. Jamontt.

Kto zajmie miejsce prezesa Mogilnickiego i czy następca posiadać będzie równe Mogilnickiemu kwalifikacje — jest to pytanie, na które przyszłość dopiero odpowie. Prezes Mogilnicki jest znany jako wybitny kryminolog, jest autorem wielu prac z dziedziny prawa, jest autorem komentarza do kodeksu Postępowania Karnego, który obowiązywać będzie na ziemiach polskich od 1 lipca r. b., jest wreszcie jednym z niewielu uczonych prawników polskich znanych zagranicą.

Jeżeli się zważy jeszcze, że prezes Mogilnicki położył duże zasługi w okresie organizacji sądownictwa, że w sądownictwie tem pracował od pierwszych dni jego istnienia, że wszystkie prace ustawodawcze noszą piętno jego fachowej, poważnej wiedzy — to należy przyjść do wniosku, że przeniesienie w stan spoczynku człowieka tak znanego i zasłużonego jest niepowetowaną stratą dla naszego sądownictwa.

Charakterystyczną jest rzeczą, że Minister Sprawiedliwości korzysta z każdej okazji, by w swych przemówieniach przekonać sędziów, że nie ma zamiaru łamać zasady nieusuwalności sędziowskiej. Co mają na celu obecne posunięcia p. Ministra niewiadomo, obawiać się należy, że mogą one podrywać powagę godności sędziowskiej, a przez usunięcie ludzi wybitnych z sądownictwa obniżają jego poziom.

Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ

TRÓJPOROZUMIENIE

W CANNES odbyła się uroczystość ku upamiętnieniu dwudziestopięciolecia porozumienia między Francją i Anglją, tej *Entente cordiale*, dzięki której dwa państwa stanęły obok siebie w wielkiem starciu, rozpoczętem w r. 1914.

Warto przy tej okazji przypomnieć główne daty z dziejów trójporozumienia, które zadało w r. 1918 ciężką klęskę Niemcom.

Trójporozumienie doszło do skutku, jako czynnik równowagi europejskiej przeciwko Trójprzymierzu Niemiec, Austro-Węgier i Włoch, które było dziełem Bismarka i miało służyć do utrzymania i utrwalenia jego dzieła—zjednoczenia Niemiec. System polityczny Bismarka był bardzo prosty: sojusz z Austro-Węgrami i Włochami, przyjaźń z Rosją, trzymanie Anglji zdala od kontynentu, osłabienie i poniżenie Francji. Umowa, na której było oparte Trójprzymierze, była podpisana w r. 1883. Żelazny Kanclerz dostał dymisję w r. 1890, a cesarz Wilhelm wprowadził politykę niemiecką na nowe tory, przez morza po kolonje i przez Bałkan ku Azji Mniejszej (Berlin-Bagdad). Pierwszy kierunek prowadził do konfliktu z Anglją, drugi z Rosją.

Rychło też rozpoczęła się akcja, zmierzająca do zbliżenia między Francją i Rosją. W latach 1887, 1889, 1890 i 1891 Rosja zaciąga pożyczki we Francji. W r. 1891 odbywa się głośna wizyta eskadry fraucuskiej w Kronsztacie. Umowa ogólna między Francją i Rosją została podpisana w lipcu 1891 roku, umowa wojskowa w r. 1894.

W kilka lat później doszło do bardzo ostrego zatargu między Francją i Anglją na gruncie afrykańskim. W lipcu r. 1897 nad brzegami Nilu, w Faszodzie, stanęli naprzeciw siebie pułkownik Marchand i gen. Kitchener, konflikt wisiał w powierzu. Załagodzono go i moment ten stał się zwrotnym w stosunkach francusko-angielskich. We Francji ministerstwo spraw zagranicznych obejmuje Delcassé, w Anglji królem zostaje Edward VII (1901). Ci dwaj ludzie są twórcami „serdecznego porozumienia“. W roku 1903 król Edward odwiedza Paryż w charakterze urzędowym. Dn. 8 kwietnia 1904 r. zostaje podpisana umowa dotycząca podziału wpływów w Afryce. Francja zgodziła się na ustąpienie Hiszpanji pobrzeża Marokańskiego, na oddanie Włochom Trypolisu i uznała protektorat Anglji nad Egiptem. Ze swej strony Anglja uznawała uprzywilejowane stanowisko Francji w Maroku. Od tego czasu datuje się współdziałanie Anglji i Francji na terenie międzynarodowym, współdziałanie, którego 25-ciolecie obchodzono uroczyście w Cannes pod pomnikiem Edwarda VII.

Wślad za zbliżeniami Francji i Rosji z jednej strony, a Francji i Anglji z drugiej, poszło zbliżenie Anglji i Rosji. Konflikt między temi dwoma państwami miał miejsce przedewszystkiem na terenie Azji środkowej, na drogach do Indyj. Tam też doszło do porozumienia. W r. 1907 została zawarta między Anglją i Rosją konwencja, która uregulowała podział wpływów dwóch mocarstw na terytorjum Persji.

Włochy należały do Trójprzymierza, lecz jednocześnie odbywał się proces zbliżenia między niemi a Francją i Rosją, nie bez udziału w tem Anglji. W roku 1904 była zawarta umowa między Włochami a Francją, której główną treścią było: Trypolis za Fez. W r. 1909

odbyło w w Raconigi pamiętne spotkanie między cesarzami Mikołajem, a królem Wiktorem Emanuelem. Dn. 24 maja r. 1915 Włochy wypowiedziały wojnę Austro-Węgrom. Trójporozumienie zamieniło się w czwórporozumienie, przypieczętowane krwią w ciągu szeregu lat strasznej wojny.

Przypominanie tych dziejów niedawnej przeszłości jest potrzebne i pożyteczne. Wielu sądzi wprawdzie, że prowadzono wówczas politykę innemi metodami, że obecnie — po wojnie — nie może być mowy o sojuszach i porozumieniach, że wspominanie o równowadze sił jest anachronizmem, że wszelkie konflikty będą załatwiane przez Ligę Narodów. Kto jednak uważniej przygląda się wypadkom na terenie międzynarodowym, ten widzi, że życie narodów podlega wciąż tym samym żelaznym prawom, że są przygotowywane sojusze między państwami, że powstaje w oczach naszych odnowiony „koncert europejski“.

Nic się zasadniczo we współżyciu narodów nie zmieniło, jest tedy wciąż rzeczą pouczającą przypominanie przeszłości.

S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

WIATR OD WSCHODU.

ORGAN radykalnego Związku Zawodowego Nauczycielstwa Szkół Średnich, „Ogniwo“ w Nr. 7 (sierpień-wrzesień) 1928 r. zamieścił triumfalne zawiadomienie p. t. „Nowa placówka pracy Związku“, które brzmi, jak następuje: „Związek Zawodowy Kolejarzy (ul. Czerwonego Krzyża 20) wykupił z rąk Towarzystwa Szkoły Pracy Gimnazjum w Ostrowiu pod Wieleniem nad Notecią i przekazał naszej organizacji prowadzenie tej szkoły na nowych zasadach i według wzoru angielskich szkół na wsi. Prezydjum Zarządu Głównego odbyło w tej tak doniosłej sprawie w okresie wakacyjnym szereg posiedzeń z Zarządem Głównym Związku Kolejarzy i podjęło gruntowny plan reorganizacji szkoły w referacie kol. T. Wojeńskiego, którego też Zarząd Główny desygnował na rok w charakterze organizatora i kierownika nowej tej placówki naszego Związku. Zarząd Główny, wysyłając swojego wiceprezesa na oddalony posterunek nowej pracy, na samo pogranicze zachodnich kresów naszych i w dzielnicę tak dotąd oporną dla wpływów naszych(!), spłaca w ten sposób dług wdzięczności wobec Związku Kolejarzy, który takiem zaufaniem obdarzył naszą organizację, manifestujęc dobitnie solidarność związków robotniczych (czytaj: socjalistycznych) z kierunkiem wychowawczym, przez naszą organizację reprezentowanym“.

Powstała więc placówka misyjna na „oddalonych“ kresach zachodnich wśród ludności „dotąd opornej“ na hasła wychowawcze St. Sempołowskich, Januszów Korczaków (*recte* Henryków Goldszmitów) i t. p. judeo-polskich autorytetów pedagogicznych. Opinja publiczna w dzielnicach zachodnich będzie niewątpliwie zwracała uwagę na poczynania tym misjonarzy i nie da się wziąć na lep szumnych haseł i ułudnych pozorów. Społeczeństwo tamtejsze nie okaże się zapewne podobne do ludów pierwotnych, którym zaszczepiać można wiarę przez misje, przysłane zdaleka i dalekie duchem od miejscowego środowiska. Bądź-co-bądź jednak szkoda, że ważna ta placówka wychowawcza, położona na samej granicy niemieckiej, nie dostała się w odpowiedniejsze ręce. Towarzystwo Szkoły Pracy, które sprzedało gimnazjum w Wieleniu socjalistycznemu Związkowi Kolejarzy, cieżką za to odpowiedzialność ponosi.

Do Zarządu tego Towarzystwa należy m. i. Dr. Józef Lewicki, podający się za działacza katolickiego i uchodzący za takiego wśród łatwowiernych. Dr. Józef Lewicki dziwnie jednak pojmuje konsekwencje wyznawanych haseł; m. in. na przyjęcie angielskiej wycieczki daltończyków w sierpniu 1928 r. wystąpił wspólnie z D-rem M. Odrzywolskim imieniem Związku Zawodowego Nauczycielstwa Szkół Średnich z broszurą napisaną po angielsku i po polsku. (*Notabene*, nie mówiąc o treści, angielszczyzna w tej broszurze może stanowić materjał do ćwiczeń, jak po angielsku mówić nie należy, a tekst polski wskutek błędu zecerskiego zaczyna się od słów: „Przybyliście do kraju, który oddawna jest barbarzyńskim“).

Obecnie p. Lewicki jest dyrektorem jednej ze szkół średnich w Warszawie, należących do Towarzystwa Szkoły Pracy. Rzecz ciekawa, jak wygląda ta szkoła.

S. C.

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W Krakowie zmarł wybitny krytyk i esteta, ś. p. Feliks Jasieński. W swoim czasie głośny był wydany przezeń w języku francuskim gruby tom spostrzeżeń i aforyzmów o sztuce p. t. „*Manggha*“. Jako miłośnik i zbieracz, oraz jako pisarz i znawca sztuki, Feliks Jasieński odgrywał bardzo ważną rolę w życiu artystycznem Krakowa, w krótkiej epoce wspaniałego rozkwitu malarstwa w Polsce, w czasach Stanisławskiego i Wyspiańskiego. Z tego okresu pochodzi piękne wydawnictwo ilustrowane „Sztuka Polska“, które doczekało się dwóch wydań a którego śp. Jasieński był współredaktorem. Feliks Jasieński zgromadził piękny zbiór arcydzieł współczesnego malarstwa polskiego oraz niezwykle bogatą kolekcję drzeworytów japońskich (Hiroszigego, Hokusaia i in.) Ofiarował to wszystko dla krakowskiego Muzeum Narodowego.

*

Nakładem księgarni F. Hoesicka ukazało się drugie wydanie „Gestu Wewnętrznego“ Stanisława Miłaszewskiego Zostało ono wzbogacone wskutek dodania czternastu drobnych utworów poetyckich, piękności niezwykłej. Każdy tom Stanisława Miłaszewskiego jest w naszem życiu literackiem wydarzeniem o dużem znaczeniu. Wkrótce napiszemy o nim obszerniej.

*

Z okazji zapowiedzianych odczytów p. Juljusza Kadena-Bandrowskiego w Wilnie, słuszne uwagi zamieszcza „Dziennik Wileński“ (nr. 80):

„Przedewszystkiem należy zapytać, czy Kaden posiada kompetencję do mówienia publicznie o zjawiskach literackich i artystycznych? Oto leży przed nami broszura jego pióra p. t. „Rzymianie Wschodu“, wydana w r. 1928 nakładem Sekcji Bibljofilów Koła Polonistów S. Uniwersytetu Warszawskiego, stronic 54. We wstępie do niej autor bardzo taktownie się zastrzega, że broszura jego nie ma nic wspólnego z nauką, o czem każdy czytelnik się naocznie przekonywa, czytając np. na str. 25-ej twierdzenie autora, że my, Polacy, już od ósmego wieku jesteśmy „Rzymianami z religji“ (omyłka o dwa wieki, bagatela!) Gdzieindziej, na str. 27, znajdujemy również dokładne twierdzenie Kadena, że Jan Kochanowski był rówieśnikiem Corneilla (1606—1684), gdy tymczasem Kochanowski żył w latach 1530 — 1584. Mała rzecz, a wstyd, wstyd tem większy, że powyższą broszurę nie wiedzieć poco przedrukowano na język niemiecki“.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Nakładem A. W. Kafemanna w Gdańsku ukazała się broszura Dr. F. Luckwalda „*Deutschland — Russland — Polen*“. Autor, profesor politechniki gdańskiej, brał udział w wykładach dla wyższych urzędników Rzeszy, jakie miały miejsce w Szczecinie w jesieni roku ubiegłego. Broszura p. t. „Niemcy—Rosja—Polska“ zawiera dwa z tych wykładów. Treść: historyczny przebieg dziejów trzech państw, opowiedziany pobieżnie, ale bez specjalnych animozyj. Obszerniej potraktowane wszelkie przejawy sympatji w Niemczech dla Polski w latach trzydziestych, cytowany Fontane i poezje Platena. Wogóle stosunek prof. Luckwalda do Polski jest raczej objektywny: stwierdza naprzykład, że narzucające się wrażenia z roku 1920, że Polska jest państwem sezonowem niema dziś uzasadnienia, a większość narodu polskiego

usposobiona jest w chwili obecnej pokojowo. Prawda, że Polska dążąca do Locarno wschodniego, nie chce za to uiścić ceny, jaką jest rewizja Traktatu wersalskiego, rewizja granic wschodnich. Projekty, jakie znajdawały posłuch w niektórych kołach niemieckich pod koniec roku 1926, mianowicie by pozostawić Litwę Polsce a wzamian za to odyskać tak zwany „korytarz" i Gdańsk, mogły być tylko złudzeniami, bo choć Polska chętnieby wcieliła Litwę, jak w roku 1569, to o oddaniu jakichkolwiek ziem zachodnich mowy być nie może. Być może, pisze prof. Luckwald, że ten lub ów w głębi swego serca żałuje, że w Wersalu ustalono taką a nie inną linję graniczną. Cytuje on tu hr. Skrzyńskiego, w którego książce *„Poland and Peace"* znajduje akcenty potępienia dla odebrania Niemcom ziem, które przez sto lat były organiczną częścią Prus i podstawą ich potęgi. Ale wszelki kompromis między Polską i Niemcami jest psychologiczną niemożliwością, nawet gdyby go wymagał „zdrowy rozsądek". Minister Zaleski, który w czasie wojny w Londynie należał do tych, którzy skłonni byli do porozumień co do byłej dzielnicy pruskiej, obecnie uroczyście oświadczył, że Polak odda swą krew i majątek w obronie nietykalności granic zachodnich. Budowa portu w Gdyni wskazuje również na postanowienie Polski nie opuszczanie t. zw. „korytarza", a ponieważ, jak autor twierdzi, żaden Niemiec nie może się z obecnym stanem rzeczy zgodzić, kwestja ta trzymać będzie oba narody we wzajemnie wrogim nastroju. Omówiwszy krótko obecny stan Rosji, prof. Luckwald podkreśla stale tendencje trzeciej międzynarodówki do rewolucji światowej i zbrojenia czerwonej armji. Sytuacja Polski mogłaby być wtedy zagrożona. Kto wie, czy nie cała kultura zachodnioeuropejska. Chwilowo więc, kończy autor, nie ma widoków na rozwiązanie kwestji wschodniej w myśl postulatów niemieckich. Ale wobec tego należy własnie naśladować Polskę w ciągu ubiegłego stulecia: z głęboką wiarą na odpowiednią konjukturę czekać, pracując nad wzmocnieniem więzów między Niemcami wewnątrz i zewnątrz obecnych granic. Profesor Luckwald nie pisze, w czem widzi możliwość tej konjuktury, ale rzuca się zestawienie ostatnich dwóch ustępów jego broszury: jeżeli akcja bolszewicka zagrozi Polsce... możliwość konjunktury jasna.

TEATR

ZBOROWSKI — BATORY.

DRAMAT w 8 odsłonach Ferdynanda Goetla p. t. „Samuel Zborowski", wystawiony w teatrze Polskim, zastanawia swoją niejasnością linji ideowej.

Po kilku odsłonach widzowie pytają nieśmiało jeden drugiego: dla czego autor zmusza nas do sympatyzowania za Zborowskim? Nikt nie umie odpowiedzieć, nawet autor, gdy przyszło już do egzekucji, nie ma nic do włożenia w usta Samuelowi, coby czyny jego mogło jako tako umotywować.

Ale Goetel dopisał do tego dramatu jeszcze parę aktów: *Obiit Samuel, natus est Batory.* I tutaj wszystkie swoje sympatje przeniósł z Samuela na Batorego, jakby ten był dalszym ciągiem tamtego, jakby sam sobie ściął głowę i odrodził się jako wódz narodu.

Autor, aby zapobiec formowaniu się legendy o jego dziele, w dwu czasopismach opisał przed przedstawieniem, jak napisał tę sztukę i dla czego napisał. Najważniejsze z tych wyznań brzmi: „.... przyszły wypadki majowe i owa pomajowa walka o wyraz Polski — o Jej dziejowego ducha, o Jej los. Analogje między epoką Batorego, a dniem dzisiejszym nasuwały się coraz wyraziściej. Nie mając jeszcze należytego dystansu (?) do współczesnej Polski, sięgnąłem po „swego" Samuela i napisałem wreszcie sztukę."

Z wyjaśnień tych wynika, że autor od młodości kochał się w postaci Samuela, a dopiero w r. 1926, nie przestając się w nim kochać, w Batorym znalazł punkt „należytego dystansu do Polski współczesnej". Nielogiczność stosunków obecnych rozgrzeszyła go z nielogiczności historycznej.

W Batorym odnalazł się ten Samuel, który na swoją rękę, wbrew prawicy szlacheckiej, walczył z Moskalem. Ten rycerski pierwiastek, powiedzmy legjonowy, namaszczał władzę króla powagą, przed którą (w apoteozie końcowej) ustąpić musiał sejmokratyczny element partyjnictwa. Żadna inna racja stanu, najmniej upostaciowana w Zamoyskim, którego Goetel z nienawiścią traktuje, żadne gadania o prawie i moralności, jedynie magiczna racja żołnierska, w przeciwstawieniu do „cywila" w kontuszu, była fundamentem misji Batorego. Władza Batorego pochodziła mistycznie z tego źródła, nie wymagała przez to żadnego ludzkiego uzasadnienia. To też Batory, gdy go na Sejmie pytają, za co zabił Zborowskiego, nie odpowiada, natomiast biczem nienawiści i wzgardy smąga członków Sejmu.

Żeby zrozumieć tę produkcję literacką, trzeba sobie uprzytomnić, że pisarz typu Goetla nie przychodzi do obecności swojej z historją w duszy; conajwyżej może się zainteresować egzotyką przeszłości, aby w niej wyszukać jakiś lepiej lub gorzej dopasowany rekwizyt do przyozdobienia obecnej rzeczywistości. Bo przed narodem trzeba grać, naród lubi patynę historyczności. Goetel nie jest rasowym tradycjonalistą, jemu dawność nie śpiewa w duszy, jak Wyspiańskiemu. Jest to typ literacki w stylu „naokoło świata" i P. E. N — klubu, wyobraźnia przestrzeni i jednoczesności bytów. Na upartego — jak sam pisze o sobie (Teatr, nr. 7, str. 96) — można egzotyzmu szukać w historji. „Podróż na wielkie wody historji czyż nie jest równie daleka i niezwykła, jak moja przejażdżka na Islandję"?

Stosunek duchowy Goetla do dziejów Polski jest równie zewnętrzny, jak do Islandji. Może go zainteresować malowniczość epoki, ale nie treść wewnętrzna życia, któremu drogę dalszego rozwoju wskazywał Zamoyski. Goetel podróżnik, któremu wszystko jedno, gdzie pójść, aby to było malownicze i egzotyczne, nie dba w historji o drogowskazy na trakcie cywilizacji. Takim drogowskazem dla Polaka jest Zamoyski ówczesny, ale on jest mu „obojętny", nawet go „nie lubi" (Tamże, 97).

Jakże byłby szczęśliwy, gdyby w podręczniku do historji wyczytał, że Samuelowi Zborowskiemu udał się zamach w Krakowie. że jego okrzyknięto królem i że to on sam właśnie, dawny rewolucjonista, doprowadza Sejm do porządku chłostą nieprzepartych argumentów. O ileż zgrabniej w analogji wypadłaby sztuka! Nie dziwimy się, że udawszy się do Islandji z zaliczką na robotę, jak sam opisuje, tyle miał z tą sztuką roboty. Bo istotnie z tak nieporęcznemi faktami historycznemi trudno było coś zrobić dla idei analogji.

Ale przecież nie o polityce tutaj będziemy mówili, jeno o sensie artystycznym dzieła sztuki. Dzieje narodu mają swój sens, są objektywizowane, dowolnie wywracać ich nie można w środowisku jako tako oświeconem. Człowiek, będący w teatrze widzem, ma w sobie ten sam sens, bo przez historję jest urobiony na pewien typ człowieka cywilizowanego. Czy może w tych warunkach literat chlubić się tem, że mu treść rzeczy jest obca, ale on ją przemaluje impresjonistycznie wedle nastroju chwili obecnej tak sprytnie, że każdemu będzie się wydawało, iż Samuel Zborowski i Batory to jedna linją świetlna od tej samej iskry. Sztuczka optyczna obliczona na nagłość impresji, nie mogła się udać, bo teatr działając wolno pozwala widzom oceniać rzeczy logicznie. Nie tak łatwo z życia aktualnego zrobić mistrzynię historji, aby ta wzajem służyła aktualności.

Zresztą może autor poszuka w dziejach trafniejszych analogji — ta się nie udała. Ten dramat nie ma węzła, raczej ma fałszywy; to tylko przylega, ale nie jest związane i żadnej próby literackiej nie wytrzymuje. Tam nie czuć człowieka historycznego ani w ludziach pisanych, ani w piszącym.

Teatr Polski wystąpił w blasku swoich środków artystycznych i materjalnych. Na scenie było w grze 60 dobrych artystów, oprócz tłumów, chórów, orkiestry. Reżyserja bardzo staranna, dobrze szkoląca artystów. Bardzo pięknie grał Samuela p. Jerzy Leszczyński. Dekoracja p. Frycza malownicza. Stroje bogate.

Z. W.

OFENSYWA

RASA!

BARDZO interesującą sprawę ostatnio przypomniał „Nasz Przegląd, (żydowski, ale uczciwy organ integralnego nacjonalizmu) w związku ze śmiercią ewangelicznie dobrego, wielostronnie utalentowanego poety Antoniego Langego. Ten cichy, liryczny wirtuoz języka, poliglota i tłumacz znamienity miał także inklinacje wyraźnie publicystyczne. Lubił miło, spokojnie a erudycyjnie rozgwarzać się o tem i o owem, niekiedy nawet zabierać głos w t. zw. kwestjach palących.

Otóż jedną z takich kwestyj była, jest i będzie kwestja żydowska. Lange pochodził z rodziny żydowskiej, zasymilowanej zupełnie, a sam i w swoim charakterze, i w psychice, i w poglądach i wierzeniach swoich tak mało miał judajskiego, że to jego żydowskie pochodzenie przeważnie nawet nie wchodziło w grę przy ocenie i człowieka i pisarza. Semicką przynależność rasową Langego dopiero Wyspiański wydobył w jego portrecie, w którym tak frapująco podobny jest do swego chyba antypody psychicznego, bo do... Bronsteina-Trockiego. W twórczości Langego atoli ten semityzm somatyczny wydawał się zgoła nieistniejący. Można to najlepiej stwierdzić, zestawiając liryki Langego z lirykami np... Tetmajera. Ale i w publicystyce Langego nigdy i nigdzie omal nie zadrgała struna przynależności rasowej, proces asymilacyjny spełnił się w nim do ostateczności, bez reszty. A jednakże?.. A jednak był moment, w którym r a s a, w którym krew ojców upomniała się o swój głos i swoje prawa. I na ten to moment zwrócił uwagę „Nasz Przegląd".

Otóż w r. 1911 zmarły poeta wydał broszurkę pt. „O sprzecznościach sprawy żydowskiej"... Ni stąd ni zowąd niespodziewanie zeszedł z koturnów na ziemię bitą, w sam środek rozgorzałej walki polemicznej. Broszurę skonfiskowano z niewiadomych racyj i jest pono obecnie „białym krukiem". Referujący o niej pisarz z „Naszego Przeglądu" tendencję jej nazywa „mglistą" i pisze:

„Autor nibyto głosił krańcową asymilację, dochodzącą aż do zalecenia masowego chrztu, ale posługuje się takiemi argumentami, które d y s k r e d y t u j ą a s y m i l a c j ę, jako niedościgłą utopję, jako niebezpieczeństwo dla polskości i katolicyzmu. Wyobraża sobie bowiem asymilację tylko tak, że z polaków i żydów powstanie nowy naród — mieszany, pośredni, polsko-żydowski, wyznający religję także kompromisową katolicko-mojżeszowa".

Jak wynika z przytoczonych cytatów, Ant. Lange istotnie taki plan i program w tej broszurze roztoczył...: Stworzenie n o w e j r a s y sarmacko-semickiej i nowej wiary żydowsko-katolickiej. Asymilację żydów narodową i religijną właściwie negował i ze strony żydów uważał to za „samowytępienie" i za akcję „antyżydowską". Godzi się na nią tylko pod warunkiem, że Polacy wyzbędą się „e g o i z m u k o n f e s y j n e g o" „zsemityzują" i „odsławianią". Pisał więc:

„Aby umożliwić sobie tę ofiarę, żydzi muszą oczekiwać analogicznej ofiary z drugiej strony... Jeżeli jest to unicestwienie żydów, jest to również o d s ł o w i a ń s z c z e n i e, s e m i t y z a c j a polaków... Asymilacja żydów w Polsce jest zarówno antyżydowską jak i antysarmacką. Asymilacja żydów w Polsce musi byc wzajemną".

A dalej tłumaczy i doradza jak ten proces semityzacji Polaków ma się odbywać:

„Formą biologiczną tej asymilacji, nie połowicznej lecz całkowitej, jest małżeństwo mieszane. Zjawisko to już się odbywa. Polacy mają w sobie tyle krwi żydowskiej, co żydzi polskiej(??)".

A na innym miejscu dodaje:

„Podnoszono głosy, aby żydzi przyjęli katolicyzm, aby zostali chrześcijanami. Ale przedtem chrześcijanie musieliby zostać chrześcijanami. Dopóki jednak w swoim e g o i ź m i e k o n f e n s y j n y m są to ci sami żydzi, tylko z innym ceremoniałem(?), cóż znaczyłaby ta zamiana?".

O roli, posłannictwie i zasługach żydów w Polsce średniowiecznej wypowiedział zmarły poeta pogląd może nieco za wygórowany, cokolwiek postponując lechickich autochtonów:

„Kraj — pisze Lange — był bezludny i ubogi, pozbawiony handlu i przemysłu: oni stworzyli tu ludność, zasiedlili miasta, sprowadzili do kraju znaczne kapitały, rozwinęli życie ekonomiczne podług normy zachodniej, oczywiście wyższej, niż norma Polski Piastowskiej. W fakcie przyjęcia żydów, oprócz wszelkich innych względów, czynnikiem zasadniczym były oczywiste korzyści, jakie na tem odnosiło społeczeństwo, co rozumiał doskonale Kazimierz Wielki, nadając żydom pewne przywileje".

Tu trzeba nadmienić że w „zasiedleniu" miast polskich i ich budowie cokolwiek też dopomogli Polakom: Niemcy i Włosi...

Mając tak wysokie pojęcie o żydach jako *„Kultur dunger"* Polski, no i żywiąc ideał zupełnego pomieszania ras semickiej i sarmackiej, bardzo ostro i surowo oczywiście odnosił się do tych Polaków, którzy mając odmienne przekonania, rozpoczęli nieśmiałą i beznadziejną walkę z pansemityzmem i ś. p. Jeleńskiego, tak zasłużonego redaktora „Roli" nazywa „pospolitym opryszkiem"... akcję zaś ś. p. A. Niemojewskiego „zarazą".

Otóż taki pogląd na kwestję żydowską u nas miał ś. p. Lange, człowiek istotnie ewangielicznej łagodności, liryk gołębiego serca, idealista, marzyciel, metafizyk, o mile daleki od brutalnej agresywności dzisiejszych działaczy - megalomanów, no i zasymilowany pozornie bez reszty i bez restrykcji, nie poczuwający się rzekomo do żadnej więzi rasowej. A jednak?... A jednak czego to się domagał, o czem marzył, czego życzył obu narodom!?

Przypomnijmy sobie teraz, jak to Wyspiański w „Wyzwoleniu" (scena z Miaskami) potępia i piętnuje małżeństwa mieszane!

No i przytoczmy teraz, co to świeżo odkrył moskiewski autropolog prof. dr. Manoiłow (izraelita), także badacz stałych cech rasowych ludów: proces utlenienia się krwi semickiej odbywa się 3 razy szybciej, niż w rosyjskiej, w słowiańskiej wogóle...

Przynależność tedy do pewnej rasy nie jest ani frazesem ani mytem. Wprost przeciwnie: to jest najważniejsze, to decyduje, przed tem się nie ucieknie, nie uchroni się nikt i nie wyratuje. W pozornie zgoła i doszczętnie zasymilowanym eks-semicie nagle z podłoża podświadomości wydobędzie się przemocą g ł o s k r w i i delikatnemu, pozornie w zaświatach bytującemu lirykowi podyktuje rozkazodawcze pretensje imperjalizmu pansemickiego, domagania się poddania rasy gospodarzy, władców ziemi, tubylców, autochtonów rasie nomadów wmieszkanych, meteków gościnnie przyjętych. Z oblicza duchowego marzyciela, całkiem odsuniętego od rzeczy i spraw doczesnych i ziemskich, nagle przeglądnie drugie oblicze całkiem inne, oblicze człowieka rasy.

Odczuł to i jasno widział Wyspiański i w potrecie i w „Wyzwoleniu" (rozmowa z Maskami).

Obowiązkiem aryjczyków w Polsce jest obecnie alarmować opinję publiczną w tym kierunku, aby już ani jeden z punktów programowych broszury A. Langego dalej nie realizował się w życiu potocznem i rzeczywistem. Semityzacja Polaków bowiem istotnie przybrała już zastraszające rozmiary.

Ratujmy rasę!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Krążą pogłoski, iż w razie dojścia do władzy „rządu silnej ręki", ministrami zostaliby mianowani sami „pułkownicy" oraz „jenerał"... Gliwic...

*

Organ masonerji, żydowska „Epoka", będąca jednocześnie półurzędowym organem sanacji, jest także organem „Ligi Paneuropy". Spotykamy się tutaj z pp. A. Lednickim i aferzystą międzynarodowym, hrabią czy księciem Coudenhove — Calergi. Panowie ci mają kłopot z „rozbudową" Paneuropy. Niedawno rozległa się po całym świecie wiadomość, że wielki budowniczy Europy, ów hrabia czy książę, strwonił pieniądze na ten cel przeznaczone. Co powiecie, że ów pan tak przedsiębiorczy wpadł na pomysł ofiarowania Europy Hooverowi. Wystosował do niego list, w ktorym wypomina Stanom Zjednoczonym, ile Europa napracowała się nad niemi. Teraz, kiedy Ameryka ma pieniądze, niech się zajmie Europą. To się nazywa „kombinator", to dopiero będzie „kokosowy interes"! Hoover-Lednicki—Coudenhove Calergi, wielkie przedsiębiorstwo ekspfoatycyjne Europy. Pierwszy przystąpi do spółki z gotówką, ci dwaj wnoszą Europę. Zacznie się od banku, który Europę ujarzmi. Pomyśleć tylko, co żydzi na tem zarobią. Wobec takiego interesu śmieszne jest firmowanie żydkom spekulacyj drzewnych. Tam dopiero można wziąć porękawicznel Ani mniej, ani więcej: sprzedaż Europy!

*

Pan Jan Bobrzyński z obozu konserwatywnego, który tak radośnie wstąpił do Bloku Bezpartyjnego, bilansuje w „Dniu Polskim" wyniki tej współpracy:

„Chcemy iść za każdym rozkazem, który nareszcie t w o r z y ć zacznie. Ale takiego rozkazu brak dotąd. Same tylko porywy, hasła, systemy, walki i obietnice. Bierność społeczeństwa dosięga ostatnich chyba granic, poza któremi leży już... k i e r e ń s z c z y z n a. Żadnej iskry energji nie można z nikogo wydobyć. Programem narodu polskiego, bez względu na stan posiadania, zatrudnienia i wykształcenia, stało się życie z godziny na godzinę, pogoń za chwilowem zaspakajaniem najbliższych potrzeb i kłopotów. O jutrze nikt myśleć nie chce i wprawdzie drży przed niem ze strachu, ale nikomu na myśl nawet nie przyjdzie, że przecież można coś zrobić, aby pomyślniej je nieco ukształtować".

Wyznanie takie chyba do czegoś obowiązuje. Bo skoro się już wie, że działalnością swoją wyrządziło się krzywdę narodowi, to dalsze popieranie złego będzie miało wszystkie cechy premedytacji i hańby.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM